WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 18. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 4 Maja 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszania zwycz. 65 f. „Nadesłane" Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM

Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.

Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.

W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17.

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchsteba — ul. Karola Ludwika 21.

Konferencya w sprawie szkolnictwa średniego w Ministerstwie Oświecenia publicznego.

MOTTO: „Czy celem wychowania jest mnożenie małp i papug — małp przedrzeźniających niezrozumiane obce wzory—papug, powtarzających za panią matką pacierz?—Czy naśladownictwo, czy twórczość?—Czy tresura, czy rozwój?—Czy hofrat, czy geniusz?—Cóż warte wszystkie kopie, jak zabraknie wzorów?—Cóż znaczą wszystkie echa, jak nie zabrzmi głos własnego przekonania i doświadczenia?

Cóż znaczą wszystkie pożyczane światła planet i księżyców, jak zabraknie gwiazd i słońca?"

Stanisław Szczepanowski.
„O polskich tradycyach w wychowaniu".

Dnia 20 z. m. na godzinę 6-tą wieczór do lokalu Ministerstwa Oświecenia Publicznego (Aleje Ujazdowskie № 17) zostali przez Ministra Ponikowskiego wezwani przedstawiciele prasy na konferencyę w sprawie szkolnictwa średniego.

Stawiło się na to wezwanie kilkunastu przedstawicieli „szóstego mocarstwa", jak zwykliśmy nazywać prasę.

Po wysłuchaniu wstępnych wyjaśnień czysto informacyjnych, a streszczających historyę dziejów oświaty w Królestwie Polskiem za czas wojny aż do chwili obecnej, wypowiedzianych przez samego Ministra krótko i zwięźle, bez retorycznych frazesów, obecni dziennikarze zagłębili się w uważne słuchanie referatu p. Łopuszańskiego, który miał na celu poinformowanie ogółu o poglądach obecnego ministerstwa oświecenia publicznego na szkołę średnią.

Wstający z letargu do życia samodzielnego naród musi się żywo interesować sprawą oświaty średniej, bo ona to przygotowuje przedewszystkiem to tworzywo inteligenckiej społeczności, które dostarcza państwu materyału do obsadzania różnych posterunków w państwowym aparacie. Ona wreszcie dostarcza adeptów szkolnictwu wyższemu, które znowu każdemu państwu dostarcza tworzywa na te ostatnie szczytowe wiązania, kopuły państwowo-narodowego gmachu.

Jeśli szkoła elementarna ma za zadanie dostarczenie materyału na mocny fundament pod gmach państwowy, średnie wykształcenie winno dostarczyć cegieł na ściany, a uczelniom wyższym, jak akademii, politechnice i uniwersytetom pozostaje dostarczenie materyału do wykończenia kopuły tego skomplikowanego gmachu, jakim jest dzisiejsze państwo.

„Nie ostoi się dom bez mocnych fundamentów"—przestrzega już ewangeliczna przypowieść; niewiele warta taka budowla, w której ściany z kruchego materyału zbudowane, prędko rysami się pokryją i katastrofą grozić poczną mieszkańcom, ale i mocne wiązania dachu, osłaniające przed wiatrem i wilgocią całą budowlę, wielkiego są znaczenia.

To też narody, naprawdę rozumną myślą żyjące, równą troską otaczają szkolnictwo elementarne, jak średnie i najwyższe, wiedząc, jak ścisła jest w gruncie rzeczy między niemi wzajemna ich zależność.

Zdziwiło to zapewne niejednego z nas, że p. referent traktował szkolnictwo średnie w oderwaniu, ale tłomaczyć to sobie można tem, że konferencya miała tylko na celu sprawę szkolnictwa średniego, a mając na względzie drogi czas przedstawicieli prasy, nie chciano ich zapewne zbyt długo przetrzymywać.

Z referatu p. Łopuszańskiego dowiedzieliśmy się jednak niezbyt wiele.

Nie dlatego, żebyśmy nie odczuli, iż p. Łopuszański przedmiot przez siebie omawiany zna doskonale, iż co więcej, miłuje go nawet, ale w ramach urzędowego elaboratu może powiedzieć jeno stąd dotąd —nic więcej.

Usłyszeliśmy więc na wstępie, że dopiero reformacya wprowadziła do szkolnictwa ingerencyę państwa, że od tej epoki datuje się stopniowy rozwój państwowego szkolnictwa.

Do ostatnich czasów temu rozwojowi państwowego szkolnictwa z państw europejskich wolnych, opierała się najdłużej Anglia, ale i w tym kraju wielkiego rozwoju szkolnictwa prywatnego i wielkiej w tym zakresie swobody, już od roku 1870 widać ogromny, znamienny zwrot w kierunku upaństwowienia.

Referent obejmował następnie charakterystykę szkolnictwa prywatnego i państwowego.

Porównał wady i zalety obu systemów w omówił stosunki anormalne polskie, które z pobudek czysto politycznych dawały tak wyłączną przewagę szkole prywatnej, rzecz prosta w oświetleniu referenta ministerstwa oświecenia publicznego wyższość szkolnictwa państwowego nad szkolnictwem prywatnem wystąpiła w całej pełni, choć inteligencya referenta i poczucie obywatelskie kazało mu przyznać, że najlepsza szkoła prywatna w poszczególnym wypadku będzie zawsze prawdopodobnie lepszą, jako ideał szkoły, od najlepszej szkoły państwowej.

Usłyszeliśmy potem czarny opis obecnego szkolnictwa średniego. Brak wy-

szkolonego nauczycielstwa. Potem radosny objaw. Olbrzymi rozmach, wprost żywiołowy ze strony społeczeństwa co do tworzenia szkół średnich a zwłaszcza progimnazyów. Nadspodziewanie wielki pęd młodzieży włościańskiej w kierunku kształcenia się średniego.

Są szkoły średnie gdzie 80% stanowi młodzież włościańska. Progimnazya zapełnione są niemal tą młodzieżą, powstają już po wsiach i osadach. Ale powstają one w gmachach strasznych, w lokalach po dawnych karczmach, przy siłach nauczycielskich mniej niż niedostatecznie przygotowanych.

Referent mówiąc o tych zakładach naukowych średnich z przerażeniem patrzył w przyszłość najbliższą naszego kraju, kierowaną przez mózgi takiej niedowarzonej inteligencyi i wypowiedział tutaj paradoksalne zdanie, iż woli obecną szkołę ludową niż lichą szkołę średnią, bo z punktu widzenia pożytku dla narodu i państwa, jest ona mniej niebezpieczną.

Oczywiście w wzmiance krytycznie omawiającej nasze szkolnictwo średnie, zasłużona pod każdym względem nagana, spotkała nasze zakłady średnie żeńskie.

Koniec referatu zawierał rzecz najważniejszą, dla której usłyszenia zostaliśmy wezwani.

A więc plany oświatowej pracy ministerstwa w zakresie szkół średnich, na okres najbliższy, czyli poczynając od września roku bieżącego.

Są one następujące:

a) Utworzenie 6 nowych szkół rozwojowych, w których na początek będzie 2—3 klasy otwarte, a potem w dalszym ciągu co roku stopniowo, będą otwierane dalsze klasy.

Będą to warsztaty pracy doświadczalnej pedagogicznej dla ministerstwa.

b) Upaństwowienie 15—20 szkół 8 klasowych w całem Królestwie. Te szkoły, które zostaną upaństwowione będą podlegały stopniowej ewolucyi, mającej doprowadzić je do tego ideału jaki ministerstwo sobie stawia. Ale ponieważ upaństwowienie spotka szkoły najlepsze, a w braku takich średnio-dobre, da się więc z łatwością osiągnąć w niezbyt długim czasie podniesienie tych szkół średnich upaństwowionych, do poziomu szkół wzorowych.

c) Trzecią pracą w zakresie szkolnictwa będzie utworzenie stypendyów dla niezamożnej a zdolnej młodzieży. Stypendya te będzie otrzymywała prawdopodobnie nie szkoła a młodzież, wprost od ministerstwa.

d) W celu podniesienia poziomu wykształcenia wśród nauczycieli szkół średnich powstanie od jesieni przy uniwersytecie warszawskim „Instytut Pedagogiczny“. Program tego Instytutu łącznie z siłami uniwersyteckiemi został już opracowany.

e) Chcąc zachęcić młodzież w kształceniu się na nauczycieli, ministerstwo będzie starało się zachęcić ją do tego stypendyami, reszty dokonają dobre warunki materyalne nauczyciela w szkole państwowej polskiej: wymagane będzie od nauczyciela, aby uczył tylko 20 godzin w tygodniu i po za szkołą nie podejmował się żadnych zajęć zarobkowych.

A teraz pytanie. Jakie wrażenie osiągnęliśmy z konferencyi w ministerstwie.

Trudno bawić się w dyplomacyę: obecny rząd popularnym nie jest i być nim nie może.

Jeśli zdoła cień popularności zdobyć, będzie to zasługą pracy rzetelnej „pro publico bono“, włożonej przez ludzi pracujących w poszczególnych wydziałach tego prowizorycznego rządu, nie będącego wyrazem woli narodu.

Sprawiedliwość każe wyznać, że w dziale oświaty rząd ten zrobił już sporo. Obecny minister ma dużo dobrej woli i sporą dozę energii, by pchać dalej sprawę powszechnej oświaty w naszym kraju.

Na krytykę jest przedwcześnie.

Chcielibyśmy jednak, żeby w ostatecznym wyniku takie konferencye, jak w sprawie szkolnictwa średniego, nietylko dawały *coś* ze strony *ministerstwa ogółowi, ale i odwrotnie, powinny dawać i ministerstwu coś konkretnego ze strony społeczeństwa.*

Tak pojmując zadanie prasy jako czynnika współtworzącego, pozwalamy sobie przypomnieć cztery prawidła co do wykształcenia umysłu, jakie wielki, narodowy wychowawca, Stanisław Szczepanowski, ujął w takie definicye.

1) „Podstawą całego wykształcenia jest wykształcenie życiowe i autodydaktyzm, a zadaniem szkoły jest, nie zagwoździć umysłu, ale przeciwnie, przysposobić go, aby był otwarty, potrafił patrzeć na życie własnemi oczyma i uczyć się z życia.

2) W społeczeństwie demokratycznem szkoła winna być w harmonii z ustrojem politycznym i główny nacisk łożyć na wychowanie równe, ludowe i obywatelskie całego ludu.

3) W wykształceniu pamiętać trzeba przedewszystkiem o warstwach produkujących i zarabiających, przysparzających majątku publicznego, a nie o warstwach spożywających lub żyjących z grosza publicznego.

4) Wykształcenie przyrodniczo-matematyczne jest podstawą wszelkiego zdrowego wykształcenia w XX w. nawet filologicznego i prawniczego, które bez takiej podstawy stają się bezużyteczną i szkodliwą nawet sieczką i plewą“.

Uważaliśmy za właściwe na tem miejscu przypomnieć te cztery prawidła kształcenia umysłu tak ujęte, jak je pojmuje nowożytny Polak, bo w pracy referenta o szkolnictwie średniem pominięto tę część zagadnienia milczeniem.

Ponadto uważamy za pożyteczne przypomnieć, że w Pamiętniku Zjazdu Kobiet z dnia 8 i 9 września 1917 r. znajduje się poważnie opracowany referat z zakresu szkolnictwa średniego wraz z uchwałami Zjazdu w tej sprawie.

Zwracamy uwagę Ministerstwa Oświecenia na ten dział wydanego świeżo Pamiętnika, jako na ważny przyczynek do podjętych reform w szkolnictwie średniem wogóle.

Ponadto uważamy za pożądane wprowadzenie zmian w system stypendyalny w Królestwie.

Czyby nie należało pójść za przykładem Wielkopolski i przejąć z tamtejszych stosunków system stypendyalny, wprowadzony tam w okresie „wiosny ludów“ przez d-ra Karola Marcinkowskiego. Opis tej organizacyi stypendyalnego Towarzystwa można znaleźć w książce Stefanii Bojarskiej: „Wielkopolska“, w rozdziale: „Wielcy wychowawcy współczesnych Wielkopolan“.

Na zakończenie pozwalamy sobie podkreślić miłe wrażenie, jakie na nas sprawiło zapewnienie p. ministra, że prowizoryczny rząd nie ma zamiaru zasadniczych reform wprowadzać do szkolnictwa państwowego, nie chcąc samozwańczo wchodzić w prawa przyszłego ustawodawczego sejmu polskiego.

Redakcya.

Kilka uwag nad reformą szkolnictwa.

(DOKOŃCZENIE).

Powróćmy do naszego założenia, że zreformowana w omawianym duchu szkoła średnia posiada wreszcie do swego rozporządzenia młodzież zdrową, zdolną, dobrze wyuczoną i pragnącą piąć się wyżej po szczeblach nauki.

Czy taka młodzież będzie już zupełnie dobrze przygotowana do uniwersytetu?

Jeszcze nie. Przeskok od nauki średniej do wyższej jest olbrzymi.

Metody nauczania też zupełnie różne.

Czyżby więc nie należało młodzież szkolną przedtem zaprawić odpowiednio do nauki wyższej, aby w nowem dla siebie środowisku umiała się znaleźć i z korzyścią wykłady sobie przyswajać?

Aby celu tego dopiąć, powinno się właściwie stworzyć dla maturzystów choćby jeden rok przygotowawczy do uniwersytetu.

Ale nie zapominajmy o naszym pierwszorzędnym obowiązku społecznym nie marnowania lekkomyślnie choćby jednego roku życia młodzieńca.

Otóż w takim razie byłoby najodpowiedniejszem postępowaniem zakończyć naukę w szkole średniej na klasie 7-ej, z klasy zaś *8-ej utworzyć ów most, łączący ze sobą obie uczelnie.*

W tej to klasie z jednej strony nastąpiłoby uporządkowanie już posiadanej wiedzy w sposób syntetyczny; z drugiej zaś należałoby ujawnić treść nauk wyższych, oczekujących młodzież na uniwersytecie.

Powinny więc tu być wykładane nauki takie, jak: logika, biologia, historyozofia, historya kultury, ekonomia polityczna, zasady prawa, wstęp do filozofii, do teologii — i t. p., wszystko w ogólnym zarysie, a także i nauki ścisłe o kilka szczebli wyżej, niż w szkole średniej.

Młodzież w tak zreformowanej klasie 8-ej będzie miała dwa zadania do spełnienia: 1) przyjrzenie się naukom, oczekującym ją w przyszłości i 2) zbadanie i poznanie samego siebie: czego właściwie

chce, do czego ma zamiłowanie, z jaką dziedziną nauk pragnie życie swe związać.

Przy takiem postępowaniu uniknęłoby się niepotrzebnej i wyczerpującej walki z samym sobą, przerzucania się z fakultetu na fakultet, co przyczynia się do marnowania tak drogiego czasu, słowem, niezgody ze swojem „ja“, co stanowi prawdziwą plagę dzisiejszych ludzi.

A więc na drodze reform doszliśmy do uniwersytetu, najwyższej placówki wiedzy.

Czyż gdy mowa o reformie szkolnej, zawsze tylko reformę szkolnictwa średniego ma się na uwadze?

Jeżeli się rzuca na kogoś potępienie, to samemu trzeba być bez zarzutu.

Uniwersytet rzucił potępienie na szkołę średnią, ale czyż sam jest bez winy?

I na uniwersytecie źle się dzieje.

Profesorowie nie stoją na wysokości zadania, każdy jest tylko nauczycielem swego przedmiotu. Prawdziwa nauka przebłyskuje tylko to tu, to owdzie, niby błędne ogniki, a uniwersytet prawie cały swój czas i siły poświęca na to jedynie, by dać społeczeństwu fachowców, co prawda wyższego typu, ale tylko fachowców, przeznaczonych do kręcenia swego tylko kółka w mechanizmie społecznym.

Lecz gdzież mistrze, regulujący mechanizm, leczący jego błędy i skazy? Gdzie skazówki, wskazujące nam ważne godziny na zegarze dziejowym? Kto jest w posiadaniu czarownych kluczy, nakręcających mechanizm ku doskonalszemu postępowi?

Jeżeli reforma szkoły średniej zasadza się według naszego mniemania na jej rozczłonkowaniu, to dlaczegóżby tej metody nie rozciągnąć i na uniwersytet?

Czyżby dzisiejszy uniwersytet miał być ostateczną ostoją nauki?

Czyż jest on niewzruszalną, nietykalną instytucyą?

A przecież, wziąwszy rzecz historycznie, były ongi czasy, gdy uniwersytetów nie było. Uczeni z szyframi i z tablicami w rękach spisywali swe myśli twórcze, nie uczęszczając na katedry.

Pomału, wyłonione potrzebą czasu pojawiły się na horyzoncie naukowym uniwersytety.

Przez szereg wieków nauka rosła i rosła.

Myśli twórcze, odkrycia, wynalazki, systematy filozoficzne, rodzące się jedne z drugich, gromadziły się w mózgach ludzkich i księgach dzisiejszych.

I oto stało się, że ogrom wiedzy przerósł ramy uniwersytetu — wprost rozsadza jego ściany.

Cóż nam czynić wypada?

Otóż stwórzmy coś wyższego jeszcze. Po rozczłonkowaniu wywyższmy poziom uniwersytetu tak, aby objął najwyższe dostępne dziś dla nas horyzonty; źle mówię, bo i niedostępne dziś szczyty, do których jednak w przewidywaniach i przypuszczeniach naszych dojść pragniemy, a może i dojdziemy.

Uniwersytet obok swych wyższych wymagań, jakieśmy to już wyżej zaznaczyli, daje też młodzieży ostatecznie wykształcenie fachowe.

Niech więc, i owszem, wypuszcza ją w świat najlepiej przygotowaną, najbardziej wykształconą, ażeby mogła zajmować stanowiska wyższego rzędu z korzyścią dla kraju.

Lecz to nie dosyć; nie wolno nam na tem poprzestać i odejść z zadowolonem sumieniem.

Nauka jeszcze nie skończona.

Pozostają niezajęte jej szczyty. Szczyty filozofii wszechnauk, ogólnej syntezy; warsztaty dociekań i doświadczeń, walących oskardem w gęste masy ciemności, by w nich wybić okno na ukazujące się widnokręgi i krajobrazy naukowe.

Taką pracą twórczą zająćby się powinien już po rozczłonkowaniu wyższy dział uniwersytetu.

Temu drugiemu uniwersytetowi możnaby nadać nazwę *Synthesium* czy *Philosophicum*, czy jakąś inną, bo nie o nazwę tu chodzi, ale o treść istotną.

Któż uczęszczać będzie na Synthesium?

Wybrańcy i oblubieńcy nauki, którzy dla niej samej żyć i pracować pragną.

Tacy, którzy staną się dla ludzkości drogowskazami i nauczycielami.

Dlaczego dzisiaj postęp tak zwolna się naprzód posuwa?

Gdzie genjusze, których ludzkość daremnie wyczekuje? Ciemność nas otacza, błądzimy drogą starych grzechów i daremnie wypatrujemy światła, któreby nam swym blaskiem z dali zajaśniało.

Przyczyna leży w tem, że dziś każdy jest tylko swym zawodem i zarobkiem zajęty; niema dziś odpowiedniego miejsca i atmosfery, gdzieby ludzie o umysłach twórczych mogli się myślami swemi wznieść wyżej.

Prócz tych względów jest jeszcze bardzo ważny, któryby przemawiał za stworzeniem uniwersytetu wyższego.

Każdy nauczyciel musi być od swych uczniów mędrszy i uczeńszy; wtedy naprawdę może ich dużo nauczyć.

I tak, nauczyciel ludowy szkółek elementarnych powinien posiadać wiedzę w zakresie szkoły średniej.

Nauczyciel szkoły średniej musi posiadać dyplom z ukończenia uniwersytetu.

Kto zaś obecnie naucza w uniwersytecie?

Człowiek, który umie niewiele więcej nad to, ile pragnie nauczyć swego ucznia.

To źle — to zły nauczyciel. Taki profesor, to w większości wypadków tylko fachowiec, którego umysł nie posiada szerszych horyzontów, któremu obca synteza wszechwiedzy, który nie potrafi wznieść się na wyżyny filozofii.

Wykład jego nudny, suchy, nie pociągający, a więc co dziwnego, że i uczniowie jego pozostaną szarą, bryłowatą masą.

Otóż pracownicy tego wyższego uniwersytetu, tego Synthesium, mogliby dopiero być nauczycielami uniwersyteckimi szerszego zakroju, takimi, jacy się uniwersytetowi należą.

Kto zaś ma kształcić profesorów Synthesium?

Na tym poziomie nauki panuje tylko samouctwo: twórcza intuicya i własna praca.

Na zakończenie porównanie.

Zestawmy linię szkolnictwa z linią kolei żelaznej.

Wyobraźmy sobie, że linia kolejowa nie ma pośrednich stacyi i pociąg raz puszczony, biegnie bez przestanku, bez zaczerpnięcia tchu, aż do stacyi ostatecznej. Dopiero tam się zatrzymawszy, wyładowuje pasażerów i bogate ładunki.

Zapewne, że ta stacya ostateczna za każdem przyjściem pociągu zawrzałaby życiem i ruchem, stałaby się zasobniejszą.

Lecz cóż z tego za korzyść, jeśli cała droga, którą pociąg przebiega, pozostałaby martwą, pożądającą choćby małej cząstki tych zasobów, które otrzymywałaby, gdyby pociąg kilkakrotnie w drodze się zatrzymywał.

To samo da się powiedzieć o szkolnictwie.

Jedna długa nieprzerwana linia, ciągnąca się od klasy wstępnej do ostatniego kursu uniwersytetu, nie może przynieść ludzkości tyle korzyści, ileby mogła, gdyby była podzielona na stacye.

Niech na każdej stacyi wysiadają ci, którzy dalej jechać nie mają zamiaru ani sił, tacy, którzy w danem miejscu są wyczekiwani i gdzie postojem swym doczesnym mogą przynieść korzyść rzeczywistą.

Pociąg zaś, pozbywszy się balastu, niechaj z jednostkami wytrwalszemi mknie dalej i dalej ku tym granicom myśli i ducha, które są wieczną tęsknotą ludzkości.

N. Zwejgbaumowa.

Listy z Krakowa.

III.

Pocieszającym jest również ruch wydawniczy w Galicyi. Kiedy w Królestwie niemal wszyscy księgarze skarżą się na niesłychany spadek produkcyi wydawniczej i przedewszystkiem na słaby popyt ze strony publiczności kupującej, (wyjątek stanowią tylko podręczniki szkolne i publikacye naukowe do użytku wyższych uczelni) Galicya pod tym względem prawie że nie ustępuje innym krajom kulturalnym Zachodu. Nabywców znajdują nie tylko rzeczy nowe, lecz również wydawnictwa, które przed wojną przeszły w zapomnienie. Nowsze wydawnictwa, szczególnie z zakresu literatury pięknej, rozchodzą się masowo we wszystkie zakątki kraju i w szybkim bardzo czasie ulegają całkowitemu wyczerpaniu.

Jest to objaw niezmiernie radosny i przynoszący zaszczyt społeczeństwu galicyjskiemu. Podnieść należy, iż książki kupuje na równi z publicznością zamożną, również ludność średnio zamożna, a często nawet zupełnie uboga.

O znacznym rozwoju czytelnictwa i o potrzebie drukowanego słowa świadczy coraz lepiej prosperująca i wciąż mnożąca się praca peryodyczna. W Warszawie z powodu braku czytelników wiele peryodyków musiało zawiesić swą działalność całkowicie, te zaś, które wychodzą przeważkie uszczupliły swą objętość lub ukazują się w coraz większych odstępach czasu (szczególnie organy fachowe). W Krakowie natomiast co pewien czas przybywa nowe pismo, szybko zdobywając sobie liczne koło czytelników. W czasie wojny powstały między innemi pisma następujące. *Kultura Polski*, początkowo miesięcznik, obecnie tygodnik, redagowany przez p. Helenę Radlińską, jeden z organów lewicy; *Rok Polski*, miesięcznik, wychodzący

pod red. prof. dr. Augusta Balastisa i poświęcony wszystkim dziedzinom życia kulturalnego Polski; *Na posterunku*, tygodnik kobiecy o charakterze lewicowym, redagowany przez p. dr. Zofię Daszyńską-Golińską; *Odbudowa Kraju*, miesięcznik, poświęcony sprawom gospodarstwa narodowego, organ obywatelskiego komitetu odbudowy wsi i miast, *Korespondencya wojennej Centrali Handlowej*, dwutygodnik, omawiający żywotne i aktualne sprawy z zakresu zagadnień gospodarczych kraju i zagranicy, wreszcie 1 stycznia r. b. począł wychodzić organ literacko-artystyczny p. t. *Maski*, ukazujący się dekadami i redagowany przez p. Tadeusza Świątka. Pismo pragnie skupić wszystkie ocalałe w Polsce talenty, „które na gruzach kultury trwają w okrutnych dniach próby wiernie przy ideale sztuki budowniczki lepszych światów i nieznużenie czekają odnowy jutra". Hasłem pisma nie jest niewolnicze i fanatyczne hołdowanie jakiemuś kierunkowi w sztuce, lecz krzewienie ideałów prawdziwego piękna, w jego wszelkich objawach i formach. Nowe prądy w literaturze i sztuce uwzględniane są jednak w jaknajszerszym zakresie, a krytyczne ich ujęcie znajduje wyraz w szeregu specyalnych artykułów i szkiców. W dotychczasowych 9 zeszytach zamieścili swe prace: Emil Breiter (O Stanisławie Brzozowskim). Z. Pronaszko (O ekspresyonizmie), L. Chwistek (Wielość rzeczywistości w sztuce), Al. Zelwerowicz (O teatrze Stanisławskiego oraz o projekcie inscenizacyi „Pana Jowialskiego"), Laura Pytlińska (O poległym w bitwie nad Marną poecie francuskim, Péguy'u), Tadeusz Sinko (O świecie baśni), poezye drukowali: Kleszczyński, Mirandola, Eminowicz, Jedlicz, Rydel, Orkan, Rundbaken, Zegadłowicz, Ligocki, Butrymowicz i inni, przekłady zamieścili: Stan. Wyrzykowski (z Poe'go), Mirandola (z Laforgue,a), Łubieński (z Claudela), Butrymowicz (Komedya Arystofanesa: „Pokój"), Jedlicz (z Hebbla), rysunkami zdobili: Procajłowicz, Pronaszko, Chwistek, Czyżewski, Hrynkowski, Czechowski i inni, wreszcie na dodatki artystyczne przeważnie złożyły się świetne karykatury Sichulskiego. W numerze dziewiątym z 20 marca Kaz. Tetmajer rozpoczął druk nowej swej powieści p. t.: „Walka".

Ukazanie się nowego tego pisma, pragnącego stać się wyrazem polskiej myśli twórczej i odzwierciadlić jej załamania i wzloty, a z drugiej strony pisma, usiłującego przełamać w naszym społeczeństwie obojętność dla spraw literatury i sztuki, jaka wyrodziła się w latach obecnej wojny, powitać należy z prawdziwem zadowoleniem i życzyć mu pomyślnego rozwoju.

Leon Pączewski.

W KALEJDOSKOPIE SCENY.

I znów powódź nowych sztuk, powódź premier oryginalnych i tłomaczonych. W Rozmaitościach „Carewicz" Zapolskiej, w Polskim „Lekcya miłości" Kleszczyńskiego i „Wet za wet" Nicodemiego, w Letnim „Niebieski lis" Herczega. Tydzień ostatni zwłaszcza w dziejach naszych teatrów można zaliczyć do najbardziej zajmujących... Już dawno nie zdarzyło nam się słyszeć autorów, którzy mają coś nowego do powiedzenia ze sceny... Nudne, ckliwe melodramaty, płaskie, ordynarne farsy ustąpiły miejsca prawdziwej sztuce. „Carewicz" Zapolskiej jest niewątpliwie sztuką, mającą walory artystyczne, choć w pomyśle dość ryzykownym i w rozwinięciu intrygi tkwią pierwiastki melodramatyczne. Sztuka jest nawskroś widowiskiem teatralnem, zbudowana pewną ręką majstra mającego wielkie poczucie sceny, efektu teatralnego, znajomość życia i ludzi i doskonałe wyczucie psychiki widza, który przychodzi do teatru, aby oglądać przedewszystkiem obrazy barwne, nęcące oko, mocne w rysunku.

Figura Soni—może nienowa u Zapolskiej — jest ciekawa w swojej psychice; naturalna, zarysowana dobrze, a już wprost przepyszna jest sylwetka starego cara, oddana z całą mocą wybitnego talentu znakomitej autorki. Reszta figur ma mniej lub więcej ciekawy rysunek, sam carewicz—może dość nierówny, trochę blady; tło zręcznie podmalowane, akcya żywa. Są tu i owdzie niedociągnięcia, błędy w budowie dramatu, który chwilami zbyt wyraźnie pragnie zdobyć sobie sympatyę szerokich mas, chciwie spragnionych barwności widowisk i grubszych efektów. Całość, pomimo wszystkie zarzuty, jakie można stawiać sztuce, posiada sceny pełne szczerego sentymentu, epizody świetne i momenty o silnem napięciu dramatycznem.

P. Szylinżanka stanęła tym razem na wysokości zadania. Utalentowana artystka głębiej ujęła rolę, zapanowała nad nią, miała dużo prostoty i wdzięku. Dykcya wyraźna nie miała, jak to nieraz bywało w innych rolach, zaniedbania i harmonizowała z miękkością ruchów; nie było zgoła szorstkości i lekceważącej nonszalancyi w przeprowadzeniu roli. Z prawdziwą przyjemnością stwierdzamy to na tem miejscu: tak łatwo przecież, gdy się ma naprawdę zdolność, pozbyć się wad i błędów drobnych, lecz psujących ogólne wrażenie.

Obok tej postaci, która wysunęła się na plan pierwszy, carewicz sam (p. Węgrzyn) zaznaczony był przez odtwórcę dość mocno, choć w tonie gry nie było zdecydowanej jednolitości. Niektóre sceny były świetnie grane, w innych—postać chwiała się nieco i łamała zasadniczą linię; najlepszym może był akt II, później III-ci.

Świetną sylwetkę cara, żegnającego się ze światem, stworzył p. Kotarbiński. Budził grozę i litość zarazem. Stworzył kreacyę pierwszorzędną, wynosząc do tej godności drobny epizod. Doskonale zaznaczył swą rolę p. Rożański, dając typ starego, wiernego sługi, ciekawy, wybornie opracowany, nad wyraz sympatyczny. P. Junosza-Stępowski w nikłej roli prezydenta ministrów potrafił ujawnić swój niepospolity talent, którego rozwój nie zna spadków, wznosząc się ciągle ku wyżynom prawdziwego artyzmu. Pozostali wykonawcy z pp. Lorenzówną, Knake-Zawadzkim, Skarzyńskim, Mikulskim na czele tworzyli galeryę typów zajmującą. Wystawa i reżyserya wyborna.

„Lekcya miłości" Kleszczyńskiego należy do tych premier, o których się mówi, iż się nie udały. Poeta ma niewątpliwy talent, ale nie do pisania sztuk. Nie zna sceny, jej wymagań, ma natomiast rozwiniętą nadto skłonność do operowania frazesem, często zdawkowym i błahym. Akcya wlecze się powoli, po scenie plączą się figury zgoła niepotrzebne, czasem błyśnie żywsze słowo, ciekawsze powiedzenie—i znów szarzyzna i nuda. Najwięcej życia i dowcipu posiada akt trzeci, najlepiej zarysowana jest postać baronówny, która w interpretacyi p. Renardówny, doskonale grającej tę rolę, miała pewien wyraz. Inne figury grane były mniej lub więcej starannie przez pp. Słubicką, Michorowską, Gromnicką (zadużo afektacyi), Bendę (blady i nieszczery), Mierzejewskiego. Dobre epizody dali pp.: Jasińska, Maszyński, Muszyński i Zajączkowski. P. Oranowski grał tak, że niewiadomo było, gdzie się zaczyna jego nieumiejętność, a gdzie kończy—nieudolność samego autora. Bardzo dobry był p. Biegański.

Po „Lekcyi miłości" ujrzeliśmy „Wet za wet" Daria Nicodemi.

Sztuka ciekawa, utrzymująca uwagę słuchacza w ciągłem naprężeniu. Zbudowana (szczególniej akt I) świetnie. Młody ks. de Valmieres, bogaty ziemianin i wytworny artysta-malarz, przekonuje się, że go żona zdradziła z najlepszym przyjacielem hr. de St.-Airan. Niechcąc martwić staruszki matki, która kocha jego żonę i wierzy w ich szczęście—nie mówi nic żonie, nie zabija kochanka, lecz ucieka na wieś, zamyka się tam i w milczeniu, w ciszy wiejskiego ustronia przetrawia swój ból. Serce jego, spalone i zwiędłe, nagle po latach odzyskuje moc miłowania: poznał narzeczoną de St.—Airana piękną, subtelną, pełną temperamentu Dorę i pokochał ją na śmierć i życie. Z początku ks. de Valmieres chciał zemścić się na przyjacielu, który uwiódł mu żonę i zabrać mu narzeczoną, ale wkrótce przekonał się, że Dora, która go kocha szalenie, jest właściwie pierwszą i jedyną miłością jego życia. Ale, gdy wszystko się wydaje, a ks. de St.-Airan mimo to chce zaślubić Dorę, bo idzie mu o jej posag — następuje katastrofa: de St.-Airan, gdy Dora rzuca mu w twarz słowa, świadczące, iż nigdy za niego nie wyjdzie, ze swej strony mści się, wyjaśniając jej, jakie pobudki kierowały księciem, gdy zapragnął poznać Dorę, że to nie miłość, lecz—odwet.

I szczęście się rwie... Dora porzuca narzeczonego i odtrąca kochanka, w którego miłość utraciła wiarę... choć książę chce się rozwieść z żoną i ją poślubić, ona odrzuca jego rękę i odchodzi... Lecz żona księcia, Julia, widząc jego rozpacz i ból, zdając sobie sprawę, iż ten człowiek z jej winy cierpiał tak długo — w pożegnalnej rozmowie z Dorą wyjaśnia jej, że mąż nigdy jej nie kochał, że tylko Dorę miłuje, że nie mógł to być odwet, bo nie było pragnienia zemsty, nie było zazdrości, conajwyżej—obrażona duma i miłość własna. I wszystko się kończy: Dora będzie żoną Jerzego, a Julia — odejdzie, by w ciszy i spokoju rozpamiętywać szczęście utracone przez własną lekkomyślność. Temat nie nowy, ale oryginalnie ujęty, zamknięty w formę doskonałą, skończoną. Charaktery głównych postaci narysowane pewną ręką, dyalogi potoczyste, zwięzłe; dramat niespodziewanie dla widza rozwija się i wkracza coraz na inne tory, budząc zaciekawienie, które dopiero ostatnia scena zaspakaja.

Reżyserował sztukę Solski świetnie, a grana była koncertowo. P. Renardówna (Dora) może zaliczyć tę rolę do najlepszych w swoim repertuarze; miała tyle prostoty, wdzięku, a zarazem tyle temperamentu i szczerości, tchnęła życie w postać odtwarzaną i skupiła na niej uwagę słuchaczów. P. Dunin-Osmólska również świetnie grała rolę Julii: ani jednego fałszywego akcentu, ani jednego słabszego tonu, gra jednolita, mocna, pełna wyrazu. P. Biegański jest jednym z najbardziej utalentowanych artystów młodszego pokolenia, rolę księcia Jerzego grał inteligentnie i konsekwentnie przeprowadzając ją od początku do końca. P. Kochanowicz w roli de St.-Airana także święcił tryumf, grał w skupieniu, mocno zarysowując sylwetkę blagiera, szulera, i wielkoświatowego nędznika, gotowego wszystko uczynić dla pieniędzy. Niewielką rolę swoją z wdziękiem i szczerością zagrała p. Janiczówna, typową pełną sentymentu i powagi księżną była p. Winiarska. Pp. Michorowska, Gasiński, Bonecki, Tatarkiewicz dopełniali z powodzeniem obsady.

„Niebieski lis" Franciszka Herczega przywędrował do nas z Wiednia, gdzie grano go podobno paręset razy. Rolę Ilony, jak mówią, specyalnie dla niej napi-

saną odtwarzała świetna artystka tamtejsza Konstantin.

Sama sztuka jest pochodzenia węgierskiego, autor jej, znany powieściopisarz, wsławił się swego czasu pełną humoru i zacięcia satyrycznego powieścią, „Gyurkovicse“, którą i na polski język przełożono.

„Niebieski lis“ to historya kobiety, która mocno i głęboko pokochała. W małżeństwie szczęśliwą nie jest, mąż jej, dobry, poczciwy profesor, jest raczej jej przyjacielem. Tiborowi przyjacielowi męża oddała Ilona całą duszę. I on ją kocha, lecz—nie chcąc zdradzić przyjaciela — a może nie wiedząc sam, iż kocha jego żonę, zadawalnia się jej przyjaźnią, jednocześnie zajmując się losem niejakiej Rikki.

„Niebieski lis“ — do którego mąż porównał Ilonę — to zwierzątko, które cały zasób przebiegłości i sprytu rozwija na to, aby znaleźć sobie „cichy i ciepły kącik“. Toż samo czyni Ilona. Kocha Tibora i chce się z nim połączyć. Powoli więc, korzystając z tego, że przypadek daje jej w rękę broń (jest nią zazdrość Tibora, który wyobraża sobie, że widział ją na schadzce z baronem Tvillem i ujawnia to przed mężem), doprowadza do zerwania z mężem i do połączenia się z Tiborem.

Taką jest koncepcya sztuki. Znajduje ona uzasadnienie w wyżej przytoczonem powiedzeniu męża Ilony i w szeregu innych, przez nią samą wypowiedzianych zdań, wreszcie w kilku drobnych szczegółach akcyi. Ale autor tak świetnie zawiązał intrygę i tak zarazem paradoksalnie, tak przeprowadza akcyę po mistrzowsku, a z pełnym ironii subtelnej uśmiechem, że widz niezupełnie zdaje sobie sprawę z tego, czy jego pojmowanie sztuki jest złe, lub trafne. Czy Ilona zdradziła męża, czy tylko użyła tej zdrady, jako pretekstu, aby z nim zerwać? — nie można z całą stanowczością powiedzieć ani: tak, ani: nie... Co chwila zdaje się nam, że wpadliśmy na trop właściwy, aliści „niebieski lis“ zaciera ten ślad znowu i pozostawia w niepewności.

Sztuka jest napisana świetnie. Każde słowo—jak i ujęcie szpady, ostre, mocne, szybkie; dyalogi prowadzone doskonale, znajomość życia i ludzi i umiejętność obserwacyi, która sprawia nam często niespodziankę, daje do rozwikłania zagadkę psychologiczną, z pozoru trudną, a rozwiązującą się łatwo.

Grano „Niebieskiego lisa“ wyjątkowo dobrze. P. Gryficz-Milewska grała dyskretnie i spokojnie, dając typ ciekawy, narysowany doskonale. Wybornie grali pp.: Krystyńska, Kuncewicz i Knapczyński (z dużym umiarem artystycznym), a p. Grabowski świetnie wyglądał i znakomitą dał sylwetkę Tibora, pełną ognia i szczerego temperamentu, subtelną w rysunku, jednolitą w tonie. *Tad. Kończyc.*

TEKLA KNOLLÓWNA.

FIOŁKI.

— Krystynko — nie bądź tak ciekawą, ta książka nie dla ciebie, to dla dorosłych. Obrazki?... nie ma w niej wcale obrazków, jest tylko kilka zasuszonych kwiatków, a to też nie dla dzieci — dla dzieci są świeże kwiaty. Zobaczyć? dobrze, mogę ci je pokazać—są to fiołki.

Przypływa od nich dawna opowieść — nie, nie, nie jestem smutna, tylko zamyślona... Zresztą, deszcz pada, wicher szumi i targa ogrodem, — jest to pierwszy dzień złej jesieni,—na spacer nie pójdziesz, więc siądź przy mnie, to ci opowiem. Przytul się mocno do chrzestnej matki, tak, jak ty to umiesz i słuchaj,—wicher będzie nam wtórzył zdaleka.

Kiedyś, z piękną wiosną, gdy przeschły już drogi, a po ich bokach udeptano urocze, wązkie ścieżyny, ciocia twoja przechodziła przez jedną wioskę i właśnie mijała bramę ogrodu. Ale, jak wszyscy ci, co piszą wiersze, wiedziała zdaleka, gdzie może być coś dla niej ciekawego i nie przeszła obojętnie obok tej białej, zamkniętej bramy, ale przez boczną furtkę dostała się do wnętrza obejścia, szukając kogoś z domowych, żeby spytać o pozwolenie zobaczenia ogrodu.

Gdy tak szła przed siebie, zobaczyła pana i chłopczyka, którzy podążali sobie bez pośpiechu na wiosenną przechadzkę. W parę chwil sprawa była załatwiona i pan z chłopczykiem ofiarowali się cioci za przewodników. Przechodzili przez długie, szerokie aleje pod młodą chmurką liści, oglądali czerwone tulipany—radość odrodzonej ziemi, hyacynty, dźwigające się z wilgotnego gruntu, brzegi rozlanej wody, na których szeroko świeciły kaczeńce—wszystko to było pełne wiosennego, utajonego szczęścia i uśmiechu, ale wciąż nie było tem czemś, czego się ciocia tutaj spodziewała. Wreszcie usiedli na nizkiej ławeczce nieopodal trzech ciemnych sosen i oczy cioci upadły na mały wzgóreczek, na którym rósł krzaczek tak pięknych fiołków, jakich się wogóle nie spotyka. Krzaczek był tak duży, jak krzaki bratków, a kwiaty też niezwyczajnie wielkie, jasne, liczne i pachnące wokoło tak rozrzutnie, jakby ich były tysiące, stłoczone na jednem miejscu.

Zaciekawiona, spytałam o te kwiatki i tu się okazało, jaka ciekawość ciągnęła mnie do nieznanego ogrodu. Pan z chłopczykiem opowiedzieli mi historyę, którą tu powtarzam, a właściwie, pan mówił, a chłopczyk popłakiwał, bo opowieść była smutna, a on sam ją przeżył.

„Wczesną jesienią, zeszłego roku, — mówił pan, — pogody były tak piękne, że nie wiedzieliśmy, jak się niemi nacieszyć i na zakończenie radości lata umyśliliśmy puścić latawca. Latawiec był zrobiony jeszcze za wietrznych i szerokich dni wiosennych, duży, z jaskrawą czerwoną tasiemką wzdłuż i wpoprzek, i z długą brodą, od końca której zwieszał się cały pęk różnokolorowych, papierowych wstążek, które furczały w locie i igrały na powietrzu, jak coś żywego. Z początku latawiec nie bardzo chciał się wznosić, ale kiedyśmy się dobrze rozpędzili na łące, wzleciał nareszcie i to tak wysoko, że przez jakąś chwilę nawet czerwone tasiemki zupełnie zniknęły nam z oczu i można było myśleć, że latawiec nie wróci.

Ale ściągnęliśmy go wreszcie z powrotem z radosnem furkotaniem kolorowych wstążek i gdyśmy się zbliżyli do leżącego płasko na trawie — cóż się okazało? Że w długie wstążki zaplątana leżała z nim razem jakaś mała istotka, narazie podobna do chmurki, będąca jednak małym chłopczykiem ciałka zwiewnego i przeświecającego błękitnie przez różową swą barwę. Błękit ten niczem nie był zasłonięty w oczach jedynie, wielkich, jasnych źrenicach, płochliwych i lotnych, jak lazur nieba, i tak zalęknionych w tej chwili, tak spłoszonych, że nie bardzo mieliśmy odwagę się zbliżyć. Zdawało się, że, z przerażeniem tych źrenic, ściemnieje nagle całe niebo nad naszemi głowami i już nigdy się nie wypogodzi. Włosy krótkie, jak z najcieńszej srebrno-złotej przędzy, frunęły u jego główki, choć nią nie poruszał.

Za każdem naszem zbliżeniem się, mała istotka kurczyła się niemo w sobie i usiłowała się choć trochę cofnąć; wziąść jej w rękę nie można było wcale, gdyż błękitne ciałko w różowej poświacie byłoby się zgniotło od samego dotknięcia. Po dłuższych naradach oczyściliśmy dobrze dużą klatkę po wildze i, uciąwszy splątaną brodę latawca, przenieśliśmy ją z małym więźniem do klatki.

Chłopaczek dał się przenieść bezgłośnie, ale nikt z nas, co prawda, nie mógł znieść wejrzenia jego ogromnych źrenic i każdy rad był się odwrócić.

Od tej pory chłopaczek nie był już na swobodzie. Póki można było, zdobiliśmy jego klatkę kolorowymi kwiatami jesieni, potem gałązkami sosny i zmarzłego głogu. Nie ruszał się wcale i patrzył zawsze ku niebu za oknami, a choć klatka była otwarta, nie próbował nigdy ulecieć. Obojętnie trwał obok wszystkich wypadków domu i nie wydawał nigdy głosu, z wyjątkiem jednego razu, choć i tego nie jestem pewien.

Z początkiem lutego, mianowicie, było kilka dni bardzo radosnych, mroźnych i słonecznych i u okna, gdzie był w klatce mały mieszkaniec powietrza, zwiesiły się długie, tęczowe sople lodu. I oto, gdy czytałem u swego biurka, nagle wydało mi się, że słyszę coś, niby odległy śpiew najczyściejszych skrzypiec, niby melodyę zamyśleń wiosennych, cichszą dużo od piosenki komara. Spojrzałem na samotnego chłopczyka: miał poraz pierwszy i jedyny coś niby uśmiech słońca u oczu, — zbliżyłem się — wszystko ucichło i uśmiech się rozpłynął, może było w nim odbicie sopli lodowych — i tak nie wiem dotąd, czy to był głos chłopca.

Z wiosną, zdjęci żalem, wynosiliśmy klatkę szeroko otwartą na słońce i ciepłe podmuchy—chłopczyk nie cieszył się wcale. Zresztą, od jakiegoś czasu zauważyliśmy, że blednie, niknie, niby maleje. Rozgłośny świergot ptaków budził go jakby z początku z tego omdlenia, w które się pogrążał, ale później i to nie działało nań wcale.

Kiedyś śpiew skowronka, wzlatującego ku górze, doleciał do domu bardzo wyraźnie i malec ożywił się przez chwilę

i nawet poruszył — ale to było po raz ostatni. Nazajutrz rano, — a było to trzy tygodnie temu, zastaliśmy go, gdy nie żył. Trupek jego był wonny i lekki, jak płatek zwiędłej róży".

Tutaj chłopiec głośno zapłakał i, odszedłszy od nas, siadł na młodej murawie a pan spojrzał nań i kończył swoją opowieść.

„Pochowaliśmy go tu na tem miejscu pod najradośniejszym śpiewem skowronków, w świetle przelatujących obłoków. Młody deszcz spadł odrazu na świeżą mogiłkę, jak płacz młodości i z niego to może wyrosły na niej te pachnące fiołki. Zjawiły się tu nagle przez jedną noc i kwitną nieprzerwanie".

Pan skończył swoje opowiadanie, chłopiec płakał cichutko, skowronki dzwoniły, niewidoczne oku.

Siedzieliśmy tam jeszcze długo razem — jak długo — nie wiem. Wreszcie, gdy odchodziłam, chłopiec dał mi kilka fiołków na pamiątkę z pachnącego krzaczka, a ja, wróciwszy do domu, włożyłam je do książki i tam leżą dotychczas.

— — — — — — — — — — — — — — —

Wiatr szumi, jesień zła i drapieżna znęca się nad nami za tkliwość lata... Pytasz mnie, czy to wszystko prawda?

Jest to tak prawdą, jak serce moje, bijące w tej chwili pod twą małą rączką.

ORY JELSKA.

EWUNIA.

5)

Idzie jesień, dzień po dniu nieubłagana się zbliża. Siedzę przy oknie otulona szalem, zimno mi! Chłód wieje, z każdego zda się wychodzi kąta. „Jestem! jestem!" woła. Słyszę ten głos przejmujący, wstrząsa mną całą.

Oglądam się.

Z mroku występuje pustka!

W szarych pokrowcach stoi parę wielkich staroświeckich krzeseł, wyprostowanych i sztywnych. Na małym stoliczku pod oknem więdnie pęk białych złocieni, trochę rozwianych płatków bieli się wyraźniej na ciemnem tle podłogi.

Ostatnie kwiaty z ogrodu.

Dziś rano mama wyrzucić je chciała, nieświeże są... uprosiłam by jeszcze zostały... I stoją teraz z główkami pochylonemi, skazane na śmierć... A kilka wśród nich samych już tylko sterczy badyli...

Jak minęły!...

Smutno mi, gniecie ciężar nieznośny... płakałabym... łzy nie chcą płynąć. I żal mi tych kwiatów, które mróz zwarzy i żal tego lata co wiecznie trwać nie może, młodości, która przechodzi, marzeń co się rozwieją...

Źle mi!

Nieokreślona tęsknota ssie...

Więc chciałabym się zerwać, lecieć... lecz czuję swą niemoc... niemoc czynu!...

Jaki ból! Stracone lata!

I te, co przeszły, i te, co jeszcze przyjdą, wszystkie jednakie. Tyle razy rwałam się w świat i z tego co? darmo nie puszczą! roje zakamieniałych przesądów hodują w duszy. Iść, to znaczy zerwać z niemi, z rodziną, z matką!...

Czy będę miała dość sił, by dumnie wznieść głowę do góry, gdy wiem, że depcę po sercu matczynem?

Ten świat nieznany!... nęci ku sobie. Chcę biedz! byle prędzej!

Na drodze staje obowiązek korny i cichy. „Matka!" Więc toczy się walka, Aryman i Ormuzd za bary się biorą.

Odwieczna historya.

Płyną chwile takie do siebie podobne, syamskie bliźnięta; jednakowo wiatr szumi, liście z drzew lecą i ludzkie serce cierpi...

Płyną jeszcze...

Wstaję. Podano samowar, idę, rozlewam herbatę. Ojciec w dobrym dziś humorze, wrócił ze stodoły, żyto sypie nadspodziewanie. Przywieźli z poczty świeże gazety. Czytam je głośno. Japończycy zdobyli wzgórze 307 m., biją zawsze, biją wszędzie. Ojciec ręce zaciera.

— Uważasz, panie tego, przepowiadałem wam, że tak będzie. Uważasz, znałem ja dobrze ten kolos o glinianych nogach, musi runąć, to jak dąb zmurszały, podpiłowany u pnia, dla niego niema ratunku, trzeba mu pomódz się zwalić. Japonia to zrobi.

Słucham jednego w kółko, co wieczór prawie, mam już dość Japonii, Japończyków, ich kultury, zachwytów nad niemi.

Lecz innej rozmowy nieznamy prawie, wogóle mało ze sobą mówimy, wspólnych tematów nam braknie.

* * *

Dnie dżdżyste. Obrzynają kapustę, kazali mi być przy tem, pilnować ładowania wozu na jutrzejszy targ do Pińska. Ojciec się boi, by mu kilku główek nie ukradli.

— Panie tego, złodzieje szelmy, niema uczciwego człowieka, każdy tylko z cudzoho woza zabere, taj na swój kładel

Więc kilka godzin w śpichrzu spędziłam, ręce kostniały mi z zimna, nieznośny zapach zgnilizny kręcił w nosie. Przykra robota. Baby zdziwione moją obecnością onieśmielone zrazu, milczały, noże tylko szybko migały w ich rękach. Stopniowo jednak oswoiły się, rozpoczęły długą gawędę o świętej Paraskowji i strasznej wiedźmie czarownicy, co nocami zakradała się do obór, by krowy wydajać. Okropne bajki pełne przygód nadzwyczajnych opowiadanych z wiarą, lękiem i wielokrotnem żegnaniem się podczas wieczornic przy kołowrotku.

Jaka ciemnota! darmo tłómaczę im, by tym wszystkim bredniom nie wierzyć, bo nikt nigdy żadnej czarownicy nie widział, bo ich niema na świecie.

Stara Hanna głową trzęsie.

— Oj panieneczko, toż ono prawda święta, ja sama to może i ne baczyła, kto tam widaje, ona czarownycia, to czasami hodyt' jak i mołodycia kotora, harno w namystci i krasnym hfartuszoczku, to i ne wydaty, a tut panionoczko był kołyś Sawka Fedoś durnyj, panienka to szcze małeńka buła jak on pomer, on sam widiem prohnał, a ona hyc do nioho, skrutyła hołowu i wże durnym na wik ostałsia. Oj dobre ja jeho pamiataju, takij buł chłopeć jak ona i nasz panicz, zdorowy.—Nie przerywam, po co? nie przekonam. Oświaty! trochę oświaty! Pomyślę o tem na seryo. Wezmę się; tak, trzeba urządzić jakieś wieczorne czytania, wieczory teraz długie, można codzień godzinkę poświęcić, wyszukam dobre, przystępne książki, zaraz jutro do księgarni napiszę. Nie odkładać! Jestem dumna ze swego pomysłu! Mama naturalnie zgadza się, zaraz robię rozmaite projekty, układam plan. Mama na czytelnię ustępuje mi pralni, pokój duży, ciepły, miejsca będzie dość. Wszystko wyśmienicie się składa. Idzie jeszcze tylko o pozwolenie ojca, Cieszę się! Będę miała zajęcie! cel!

* * *

Prysła bańka mydlana, utworzyła się z odrobiny, wzniosła, zamigotała i prysła.

Ojciec zabronił stanowczo, na nic moje argumenty, dawał nadzwyczaj dobre racye, świetne powody.

— Choć w zasadzie przeciwny jestem naukom chłopów, bo kto świnie paść będzie, jak wszyscy zaczną chodzić do szkoły, ale jeśli chcesz zrobić coś dla oświaty,—teraz podobno to modne, — masz sto rubli daj na nową szkółkę porzecką, zobaczymy jakie nam da rezultaty, czy choć kraść przestaną. Ale tu urządzać te komedye w domu kiedy zabronione, i to jeszcze dla kobiet, które i tak mają dosyć zajęcia, to doprawdy trzeba tylko twego pomysłu.

Skończyło się zatem!

(D. c. n.).

IZA BRONIKOWSKA.

Sâdhâna

(Urzeczywistnienie życia).

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Wychodząc z Exeter College Ania zatrzymała się chwilę na schodach.

Wygląda, jak zbłąkane widmo Arabki, w swym białym, powłóczystym burnusie. Jedną ręką unosi wysoko płaszcz i gazowe spódniczki. Pantofelki błyszczą się sztrasowemi gwiazdami sprzączek.

— Patrz, Dick, jakie niebo wspaniałe nad Turl Street, złotemi okami haftowane „jak wpół rozłożony ogon pawia". Spójrz się na nasze niebo, Dick...

A właściwie jest jej wszystko jedno.

Nie słowa ich złączą, choć wie, że dobre, słodkie trzeba mówić, wymyślić, wyłowić z serca dla niego — by okazać, jak bardzo rozumie i odczuwa jego milczenie, i aby rzucić między dusze, obce sobie jeszcze i spłoszone nagłą zmianą zwiewną, różową mgłę rzeczy nie nazwanych, a ślicznych.

Dla niego...

Dla niej, bowiem, stało się już — to — najważniejsze i nierozłączalne.

I — nie potrzeba jej właściwie nic.

A czekając na odpowiedni „moment psychologiczny“ (w ciemnej alei, koło parku, lub przy furtce od ogródka miss Jennings...) wolałaby nawet przekomarzać się z nim trochę, po dawnemu, wesoło.

Czemu więc Dick ociąga się jakoś? Jest widocznie wzruszony — przejęty. Biedak, nie śmie jej nawet wziąć pod rękę. Czy znów ma im być ze sobą — dziwnie?

Idą wolno — wolniutko przez pustą prawie Turl Street; w oddali, w granatowym mroku, konają łagodnie głosy wracających z koncertu gości.

Och, jak dziwne, jak boleśnie dziwne jest jutro szczęścia.

— Dick!

— Słucham...

— Chodźno tu bliżej, kochanie, i weź mnie mocno, dobrze, pod rękę, i daj mi rękę, o tak. A teraz, uważaj,

Idą — już przytuleni do siebie.

— Coś strasznie ciężkiego wkrada się pomiędzy nas, Dick. Nie czujesz? Boję się. Nie wiem, nie rozumiem co to jest i dlatego musimy zacząć mówić o tem zaraz, zaraz! Musimy nareszcie opowiedzieć sobie śmiało i wyraźnie — — to — co — było—gdyż inaczej czas nasz minie i z najcudniejszej chwili zostanie się popiół. — Niewolno nam marnować wspomnień, Dick. Chcesz, będziemy mówić o tem—o sobie?

— Oto dziecinny wstyd zabija we mnie szczęście, a jednak ja się otrząsnę, ja się przemogę! Przez miłość dla ciebie nauczę się mówić ci cudnie i przekonywająco o swojej miłości — nauczę się kochać słowa miłości, któremi, jak deszczem kwietnym, zasypiemy dzielącą nas przepaść.

— Anny, chcę pomówić z tobą bardzo szczerze, jak z przyjaciółką; czy, mimo wszystko, jesteś moją przyjaciółką, Anno?

— Jestem, kochanie.

— Ty nie przypuszczasz pewno nawet, że ja jestem bogata? Że mam Gołuszyn? Tobie ciężko — i nawet trudno zacząć ze mną o tem mówić — —? Nie wiesz, że wszystko sprzedam, poświęcę — a tobie — nam — musi być dobrze!

Przedziwny — jasny — świeży strumyk miłości bije, tętni w sercu.

— Anny, ja byłem ogromnie przywiązany do ciebie, o tem wiesz dobrze sama.

Mówi z coraz bardziej rosnącem rozdrażnieniem i zwadą:

— Od pół roku nie spojrzałem na żadną dziewczynę. Włóczyłem się za tobą, jak waryat — tylko za tobą.

— A Gladys?

Ania szarpie się ostro i wybucha nagle i zupełnie dla siebie nieobliczalnie.

— Proszę, zaprzestań choć na chwilę niestosownych żartów, Anno! Ty nie masz dziś prawa żartować. Musisz wysłuchać do końca i zrozumieć. Ja... ja się muszę usprawiedliwić przed tobą! Ale przedewszystkiem, moja droga, zgódźmy się na jedno: ty, jako cudzoziemka, wielu rzeczy wprost pojąć i zrozumieć nie możesz, nie jesteś w stanie. I — to powinno nas już usprawiedliwić przed sobą wzajemnie. To wytłomaczyło mi ciebie! Zrozum, malutka, że ja już dziś nie czuję do ciebie najmniejszego żalu. Ot, widocznie nie umiałem cię sobie zjednać —; szydziłaś — dokuczałaś. Gdybyś kochała...

Głos ma nabrzmiały wspaniałomyśnym, zrezygnowanym smutkiem i patosem, którym Anglicy w poważnych przejściach życiowych okraszają hojnie swą hipokryzyę a w wolnych chwilach, sentymentalne uliczne piosenki. Próbuje ująć Anię za rękę pobłażliwym ruchem starszego brata.

— Gdybyś ty wiedziała, ilem ja przez te pół roku wycierpiał, jak się martwiłem i wprost gryzłem tem, że stosunek nasz nie układa się prosto i serdecznie — według pragnień moich...

Weszli w cienistą aleję, ciągnącą się wzdłuż ogrodowego parkanu. W ciemnościach owionął ich szum drzew, pełen tajemniczości, jak gdyby zwierzały sobie one niezwykłe, radosne może, wieści o bliźnich.

Ani z dziwnym uporem plącze się w myśli urywek przejmującej, rozwlekłej melodyi Rymskiego-Korsakowa.

„Les diamants dans notre pays sont innombrables“...

— Ale ja cię już nie winię, Anny. Przebaczam ci teraz, na odjezdnem, wszystko! Udręczenie i niepokój, jakie z powodu ciebie doznawałem—szyderstwa twoje, pogardę dla mych uczuć, nawet błędną nadzieję, którą, nie wiem dlaczego, starałaś się od czasu do czasu we mnie wzniecać — — nie mając najmniejszego — najlżejszego zamiaru uszczęśliwić mnie — — zostać moją żoną. Wszak mówię prawdę? Zwodziłaś mnie poprostu.

Chłodny chór srebrzystych, w świetle księżycowem liści podpowiada teraz Ani: „Les perles dans nos mèrs incomparables...“

Dick przypomina sobie nagle, jak kiedyś takiej samej, cichej, granatowej nocy, wyjechawszy puntem w zamuloną odnogę rzeki, musiał co chwila próbować, macać ostrożnie dno poolem i za każdym razem drąg zapadał się w szlam głęboko... głęboko. Zdawało mu się wtedy, że z łatwością dosięgnąłby środka ziemi. Br... myślał, że już nigdy nie wydostanie się na brzeg.

A dziś. Słowa jego, obmyślone i rozważone kunsztownie i sprytnie, grzęzną jakoś i toną — w tem dziwnem, nienaturalnem milczeniu Ani.

Ogarnęła go złość.

Do licha, miał ją za dużo lepiej wychowaną; czy ta niemądra cudzoziemka nie widzi, nie zdaje sobie sprawy, że on, mężczyzna, stara się o to, by całe fatalne zajście załatwić w najodpowiedniejszy sposób, że łamie sobie głowę, przez delikatność, jak tu jej tym nieuniknionym zerwaniem przykrości oszczędzić.

Nie odsunęła się od niego, nie zwolniła kroku. Jakgdyby nagle przebudzona ze snu Ania Kryńska z Gołuszyna odrzekła:

— Jakżeś ty nawet mógł przypuszczać, drogi Dicku, że ja bym się zgodziła zostać żoną cudzoziemca, Anglika, opuścić wieś moją, kraj — wyjechać gdzieś do Indyi?! Ha, ha, ha! Nie udawaj naiwniejszego, niż jesteś w rzeczywistości. Już to wy, Anglicy, doskonale poznajecie się na flircie i na żartach... Co dalej?

(D. c. n.).

LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Proboszcz schylił głowę, trochę zakłopotany, a potem cichym, trochę niepewnym głosem rzekł: — Oj wy młodzi zapaleńcy, naturalnie zrobi się to i owo, ale bez walki się nie obędzie, a wy byście chcieli tak zaraz łap cap. Ho, ho, na to trzeba dyplomacyi, ostrożnie, bo jak to przysłowie mówi, kto na przedpieklu mieszka musi dyabła w kumotry prosić. Wiecie to chyba najlepiej, wy z poznańskiego.

— O tak, ale u nas nie tak łatwo, nawet koncesyi na budynek trudno uzyskać, podczas gdy tu...

— To mniejsza, ale walka z przesądami, nie uwierzysz moje dziecko, co ja z niemi przechodzę, ha są nawet tacy, co zbierają się u Jankla i wygrażają przeciw nowatorom. I cóż z tego, że budowla stanie przed zimą, gdy ludzie nie odstąpią arendarza, który ich spaja, grosz krwawy zabiera, ale za to pożycza chętnie i dużo, choć z dobrym procentem. Oni ciemni, nie kontrolują rachunków, wystarcza im, że mają na zawołanie wódkę, a czasem i chętnego odbiorcę na nieprawnie nabyte przedmioty.

A oni nie buntują się, nie odgrażają, jest tam spora kupka tych pijawek, bo to piekarz i rzeźnik, wszyscy podobno z Janklem spokrewnieni.

— Na to mamy sposoby, brat organisty zamierza odkupić piekarnię, i to mi już się prawie udało, bo tam żona chora i żyd chce się wyprowadzić, a reszta później sama się wyniesie, najtrudniej o początek. Gdy otworzymy sklep i arendarz przekona się, że tu nie ma nic do roboty sam się wyniesie.

Nina zamyśliła się. — Proboszcz przechodzi teraz z jednej ostateczności w drugą,—myślała—będzie to twardy orzech do zgryzienia, i ciekawam, ce o tem myśli wikary. Postanowiła odwiedzić kiedy stary kościołek w Potoku; umiała dobrze wiosłować to dojedzie kawał drogi, a potem proboszcz obiecał przysłać po nią konie. Nie chciała żeby prócz przyjaciółki ktokolwiek bądź o tem wiedział, zaraz byłyby pytania gdzie i poco jedzie. A Zagórski z pewnością chciałby jej towarzyszyć. I tak nie odstępuje jej ani na krok. Czy to grając w tenisa, czy w bilard lub przy zwiedzaniu stajni, stale jej towarzyszy. A gościnny gospodarz coraz to nowe niespodzianki wymyśla, więc raz przejażdżka do lasów na grzyby, to znów małe wyścigi z przeszkodami, nawet znalazły się czółenka zgrabne dla zapalonych wioślarzy i wioślarek. Niektórzy z panów zabawiali się polowaniem. Nina rankiem wstawała i biegła do ochronki, gdzie bawiła się i śpiewała z dziećmi, znosząc im słodycze, odwiedzała szkołę gospodarstwa, gdzie kształciły się dziewczęta wiejskie w praktycznych domowych zajęciach. Był to pomysł pani Izy, już w pierwszych latach

małżeństwa, uważała, że gospodyni pałacowa ma dużo wolnego czasu i może go poświęcić kształceniu córek włościańskich, które wzamian za to są jej pomocne w zajęciu. Nina zachwycona była tem urządzeniem, i chętnie spędzała długie chwile w obszernej oficynie, gdzie kilka zgrabnych i czystych dziewcząt krzątało się koło prac domowych. Był to zupełnie odrębny dział, i wszystko zostawało pod osobistą kontrolą pani Olszanowskiej, która parę razy do roku egzaminowała wychowanki. Było to w zupełności jej dzieło, i jedyna rzecz, która ją naprawdę zajmowała, to też cieszyła się z zajęcia się Niny tą szkołą i chętnie razem tam z nią zaglądała.

Towarzystwo całe zatem używało swobody, bawiąc się wesoło, i wszyscy byli zadowoleni, prócz starej pani Mirskiej. Nie podobały jej się bowiem, jak mówiła — nadskakiwania Jurka, — który świata nie widzi za tą paryżanką. Stara kobieta wymarzyła sobie świetną partyę dla Jerzego, który w jej oczach był skończoną pięknością, i sama myśl, że jej plany mogłyby być zburzone, wyprowadzała ją z równowagi. W zaciętości swej uważała Ninę za bardzo przeciętną pannę, wykształconą od pół biedy, i trochę tylko ładniejszą, niż inne. Muzykę uważała za coś, co „trąci sceną“ i upierała się, że Jerzemu nic po talencie żony, kiedy ta nie ma posagu.

Doszło nawet z tego powodu do sprzeczki między panią Izą a ciotką. Obydwie panie starły się dość ostro i wreszcie pani Iza doprowadzona do żywego, oświadczyła krewnej, że Ninę oboje uważają za swoje dziecko i jej zostawią znaczną część majątku, i że w dzień ślubu otrzyma sumę, która może być wystarczającą nawet dla Jerzego. Nie zastanawiała się w swem uniesieniu, czy dumna dziewczyna przyjęłaby tę ofiarę, tylko uważała za obowiązek swój zastąpić jej matkę.

Z prawdziwą ulgą przekonała się, że pani Mirska przestała w końcu uważać Ninę za pannę z innej sfery.

— Pieniądze jednak łagodzą wszystkie zdania i gusty, — myślała pani Iza, — jak to dobrze, że ja ich mało miałam.

VIII.

Jerzy Zagórski niecierpliwił się; od chwili już przeglądał zgromadzone przed kolumnadą pałacową towarzystwo, ścigał oczami czarne kapelusze pań, ale nigdzie nie mógł dostrzedz Niny. Konie niepokoiły się, uderzały kopytami o żwir, rwąc się niecierpliwie z rąk stajennych, którzy przeprowadzali je w koło wielkiego gazonu. Ci i owi z panów dosiadali konia, próbując, czy siodło w porządku, reszta paliła spokojnie papierosy, bawiąc panie, lub opowiadając sobie o wadach i zaletach swych wierzchowców.

(D. c. n.).

Rozmaitości.

Ważne dla pań gospodyń. Dobry pomysł miała firma księgarsko-antykwarska Jerzego Dunin-Borkowskiego i spółki, Ś-to Krzyska № 18, wydając praktycznie pomyślany zeszyt, zawierający wzór rachunkowości gospodarstwa domowego. Praktyczny ten rejestr dla oszczędnych gospodyń kosztuje tylko 1 mk.; a może być rzetelną pomocą pani domu, żyjącej podług rozumnej zasady: Pamiętaj przychodzie żyć z rozchodem w zgodzie“. Młoda firma, stworzona pomysłowością i energią grupy działaczek społecznych, prawdziwą oddała usługę licznym zastępom tych kobiet, które rachunki domowe już prowadzą.

Z ruchu wydawniczego. Ukazał się w druku referat pani Aleksandry Żuk-Skarszewskiej; p. t. *Praca gospodarcza kobiet*, wygłoszony na zjeździe polskich stowarzyszeń katolickich w Krakowie.

TREŚĆ NUMERU:

OGŁOSZENIA.

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa**. Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

NASZA POGAWĘDKA.

Żadne wojenne przepisy i rozporządzenia, nakładające kajdany na różne dziedziny codziennego bytowania, usuwające wszystko, co dawniej zdawało się „nieodzowne“, a od czego się dziś możemy odzwyczaić—nie zdołają spętać mocy tych wiosennych pędów, co wykwitają strzeliście, nie zagłuszą zwycięskiej pieśni zbudzonej z zimowego snu, pieśni przyrody do nowego życia—do którego każdy wyciąga stęsknione ramiona.

„O, cudne przebudzenie z zimowej martwoty! O szczęsne przebudzenie w zorzy wiosny złotej!“ Te poetyckie zachwyty, które zresztą każdy odczuwa, bo urokowi wiosny nikt się oprzeć nie zdoła — w dzisiejszych czasach muszą się jednak prędko rozwiać. Rozmarzenie, jakieś niepochwytne, a słodkie rojenie, jakaś niemoc, która oplata duszę — wszystko to ustępuje przed zimnym rozsądkiem — tym nielitościwym stróżem praktyczności i przezorności.



№ 1. **Skromny kostyum wiosenny.** (Szkic 1). Forma na zamówienie w administracyi Bluszczu.

№ 2. **Bluzka z dwóch materyałów.** (Szkic 2). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

I oto ten zimny rozsądek tłomaczy nam, że na nic się nie zdadzą nasze powiewne i mgliste marzenia, że z tej pajęczej tkaniny wiosennych snów praktyczna strona życia nic nie zyska — że ta wątła nić naszych rojeń pryśnie, gdy przypomnimy sobię o... cenach tkanin—które tu, na ziemskim padole, poza sferą marzeń, służą nam na pokrycie naszego ciała.

I oto—mamy prawdziwie wiosenną tragedyę — za którą nikną wiosenne idylle i poetyckie nastroje—a „szczęsne przebudzenie“ staje się bolesnem rozwianiem złudzeń.

Obecna wiosna, tak niespodzianie wcześnie strojąca świat w młodą zieleń drzew, w bogate barwy kwiatów, w ruń pachnącą — przynosi nam wraz z radosnem ciepłem tyle utrapień i kłopotów, zastaje nas tak nieprzygotowane — zaskoczone, że są chwile, w których, zapomniawszy już o dokuczliwych chłodach zimy—wzdychamy za tym krótkim dniem zimowym, za tym szarym zmrokiem, który pokrywał różne toaletowe braki i złorzeczymy słońcu i długim dniom, które niemiłosiernie uwydatniają toaletowe niedobory. Ten bucik, który przy długiem ciemnem zimowem okryciu wydawał się jeżeli nie „świeży“—to przynajmniej zupełnie „przyzwoity“ zupełnie „noble“— przy jasnym wiosennym lub letnim kostyumie jest już zupełnie „niemożliwy“. A jeżeli tego wiosennego kostyumu nie posiadamy wcale, jeśli go obecnie sprawić trzeba?... Wtedy — sytuacya jest już wręcz rozpaczliwa—po długich i bolesnych namysłach, umęczywszy nogi w pielgrzymkach po przeróżnych magazynach — wracamy tam, gdzie jest najtaniej—i zmuszone koniecznością wydajemy „bajońskie sumy“ — bo dzisiaj mniej wydać niepodobna.

Dla tych, co sprawiać mogą, albo sprawiać muszą, pojawiają się jeszcze i teraz, gdy już sezon wiosenny rozpoczęty — różne drobne wskazówki. Dowiadujemy się więc, że spódnice przy żakietach kostyumowych będą coraz węższe—a co za tem idzie nieco dłuższe. Przy długich żakietach spódnice są przeważnie zupełnie gładkie, prosto krajane, a przy krótkich żakietach widzi się dużo spódnic fałdowanych. Fałdy te ujęte są często w obręb, który je przytrzymuje, celem zachowania ulubionej przez obecną modę „prostej linii“. Przy mniej prostych i gładkich paltocikach i kaftanach spódnice są więcej przybierane, Widzimy tu spódnice podwójne, właściwie spódnice

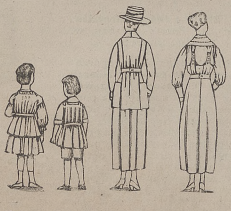


№ 3. **Ubranko z bluzą dla chłopczyka od 3 — 8 lat.** (Szkic 3). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 4. **Ubranie z bluzą dla dziewczykki od 5—10 lat.** (Szkic 4). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

z tunikami, to znów z luźno puszczonym brytem z tyłu, jakby przedłużoną stułą — często też z dwóch materyałów, odrębnych jako tkaniny a w jednym tonie. Lekko udrapowane, jakby spiralnie owinięte spódnice zastosowane bywają do sukien poobiednich, strojniejszych. Zaznacza się tu dążenie ku lekkiemu podniesieniu tylnych brytów, sutych bądź to przez bogactwo fałd, bądź przez udrapowany, wierzchni bryt, lub też przez szeroką szarfę, a wszystko to musi być wykonane zręczną, wprawną ręką i z dobrego materyału, inaczej lepiej zadowolnić się zwykłą, gładką spódnicą. Ogólnie jednak biorąc, wszystkie obecne spódnice czynią wrażenie wąskich, tak, że w przewidywaniu dalszem po tej linii, przyzwyczajać się musimy zawczasu do stawiania coraz mniejszych kroków.

Marianne.



Szk. 4. Szk. 3. Szk. 1. Szk. 2.



№ 5. **Suknia w formie płaszczyka z dwóch materyałów.** Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Wzory Ubiorów i Robót do № 18.

№ 1. **Skromny kostyum wiosenny.** (Szkic 1). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Wygodny, praktyczny kostyum może być sporządzony z wełnianego lub bawełnianego materyału do prania. Gładka spódnica przyszyta do gorsecika 5 cent. wysokiego. Przedni bryt nieco zmarszczony (patrz ryc. 2), zachodzący pod założone boki, z któremi razem przykrajany pasek, zapięty z przodu na guzik. Paltocik luźny, lekko obciśnięty paskiem. Kołnierz wykładany połączony z dużemi wyłogami. Na bokach duże, głębokie kieszenie. Podszewka z lekkiej jasnej materyjki.

Potrzeba: $4^1/_2$ metra materyału podwójnej szerokości.

№ 2. **Bluzka z dwóch materyałów.** (Szkic 2). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Bardzo ładną bluzkę sporządzić można z gazy w kolorze spódnicy na jasnej podszewce (np. z gazy bronzowej na podszewce jasno-złotawej) i z aksamitu w ciemniejszym tonie. Aksamit w kształcie gorsecika przeciągnięty w rodzaju patek, przymocowanych drobnemi perłowemi guziczkami. Kołnierz z aksamitny, nałożony aplikowaną plisą z materyału podszewki. Kołnierz przeciągnięty w wyłogi, które dalej stanowią plisę na brzegach przodu. Rękaw koszulowy zakończa mankiet odpowiedni do gorsecika. Brzegi aksamitu wykończone jasną wypustką lub stebnówką.

№ 3. **Ubranko z bluzą dla chłopczyka od 3—8 lat.** (Szk. 3). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Bardzo ładne a nie kosztowne i łatwe do sporządzenia letnie ubranko dla chłopca, składa się z majteczek przyszytych do staniczka, wypełnionego w górze koszulką z kołnierzem i z luźnej bluzy, przewiązanej wstążką lub odszytym paskiem z materyału. Ubranko może być zrobione z drylichu, satiny, płótna i t. p. Majteczki białe, bluza w dowolnym kolorze.

№ 4. **Ubranie z bluzą dla dziewczynki od 5—10 lat.** (Szk. 4). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Odpowiednie do opisanego powyżej ubranka dla chłopczyka, ubranie dla dziewczynki składa się ze spódniczki, koszulowej bluzki i luźnej bluzy, przewiązanej w stanie taką samą wstążką jak ubranko dla chłopca. Bluza z szelkami i jakby osuniętemi rękawami, z tyłu zapięta, może być zastosowana do różnych spódniczek.

№ 5. **Suknia w formie płaszczyka z dwóch materyałów.** Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Welwet i wełniany materyał składają się na bardzo ładną, zręczną sukienkę. Spódnica do połowy z welwetu, bluzka z wełnianego materyału, ułożona w kształcie szelek w kontrafałdy, pod któremi przeciągnięty jest podwójny wązki pasek z materyału. Duży kołnierz z welwetu, ujęty w obramowanie szerokie z materyału. Odpowiednie mankiety przy rękawach. Połączenie welwetowej części z górą spódnicy pokrywa dyskretnie tasiemka.

№ 6. **Ubranie z dwóch materyałów z otwartym wierzchnim płaszczykiem.** (Szkic 6). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Przód, spódnica i niższa część rękawów z jaśniejszelekkiego wełnianego materyału. Wierzchnia część sukni w formie płaszczyka z ciemniejszego i nieco cięższego materyału. Całość bardzo ładna i wytworna. Wierzchnia część wykończona plisą jedwabną w tonie trochę ciemniejszym. Krótkie kimonowe rękawy naszyte szeregiem drobnych guziczków, takież guziczki naszyte są na otwartych przodach. W stanie pasek, zapięty z boku na guziki. Rękaw koszulowy, doszyty do rękawka kimona, zakończa odłożony mankiet. Biały batysowy lub z podwójnej gazy kołnierz dopełnia przybrania.

№ 7. **Suknia letnia dla młodej panienki, zdobna haftem.** (Szkic 7). Forma i deseń na zamów. w adm. Bluszczu.

Suknię na rycinie naszej wskazaną sporządzić można z dwóch materyałów w jednym kolorze lub z kilku kawałków jednego. Spodnią spódnicę plisowaną, a właściwie falbanę przyszytą do perkalowej podszewki i koszulowe rękawy sporządzić można z białego batystu. Wierzchnią—w rodzaju tuniki i bluzkę z płótna, piki, kreponu czy tym podobnego. Tunika może być z jednej sztuki lub



Szk. 7. Szk. 8. Szk. 9.

wszyta mereszką w rodzaj karczka, co ułatwia zastosowanie mniejszych kawałków materyału. Bluzka z tyłu zapięta, wycięta w ząb, przy wycięciu przybrana haftem i mereszką. Rękawy koszulowe, ujęte w haftowany pasek. Całość wykończona mereszką. Pasek z materyału, kryto zapięty, lub z wstążki w dowolnym kolorze.

№ 8. **Sukienka dla dziewczynki od 7—12 lat, przybrana kolorowem krzyżykowem wyszyciem.** (Szkic 8). Forma i deseń na zamówienie w adm. Bluszczu.

Sukienkę w formie bluzy ślicznie przybiera wyszycie kolorową lśniącą bawełną, tworzące w stanie rodzaj gorsecika, w dole jako szlak okalające spódniczkę z wyjątkiem przodu. Przód szeroki, złożony jak kontrafałda, kryto zapięty, naszyty dwoma rzędami guzików. Aksamitka lub wstążka, przewiązana w pasie, przeciągnięta przez nacięcia obdziergane w przodzie i związana na węzeł. Kołnierz i zapięte na guzik duże mankiety przybiera wązki haft. Rękawy koszulowe.

№ 9. **Bluzka z baskiną, przybrana haftem, dla młodej panienki.** (Szkic 9). Forma na zamówienie w administracyi Bluszczu.

Bluzkę w rodzaju paltocika, z surowego jedwabiu, bardzo ładnie przybiera haft ażurowy jedwabiem, dobranym do tonu materyału. Rycina nasza wskazuje spódniczkę z granatowej jasnej wełny i kaftanik w kolorze surowego płótna z jasno-granatowym jedwabnym kołnierzem, objętym pliską z surowego jedwabiu, podwiązanym granatową krawatką. Granatowy pasek, przeciągnięty pod kontrafałdami, zapięty z przodu. Kaftanik zapięty kryto nieco z boku pod haftem.



№ 7. **Suknia letnia dla młodej panienki, zdobna haftem.** (Szk. 7). Forma i deseń na zam. w adm. Bluszczu.

№ 8. **Sukienka dla dziewczynki od 7—12 lat, przybrana kolorowem, krzyżowem wyszyciem.** (Szkic 8). Forma i deseń na zam. w adm. Bluszczu.

№ 9. **Bluzka z baskiną przybrana haftem, dla młodej panienki.** (Szk, 9). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 10. **Suknia z bluzką, przybrana haftem.** (Szkic 10). Forma i deseń na zamów. w adm. Bluszczu.

Ręczny haft, ta najpiękniejsza ozdoba letnich sukien, przybiera cały szereg wskazanych przez nas sukien. Mimo wysokiej ceny bawełny jest to przybranie opłacające się najbardziej, nietylko najpiękniejsze ale najtrwalsze i najdogodniejsze, bo najmniej uciążliwe do prania.

Suknia (ryc. 10) składa się ze spódnicy 2 razy okolonej wązkim szlaczkiem i z bluzki, z tyłu zapiętej, ozdobionej szelkowem przybraniem z haftu. Przybranie to z przodu przeciąga się na spódnicy i z prawej strony przykrywa kieszeń. Rękawy, od łokcia przybrane węższym haftem, przy ręku proste wyłożenie. Do kołnierza wykładanego, wykończonego dzierganiem, z tyłu przyszyty szlak haftowany. Pasek z kolorowej materyi lub wstążki, odpowiedni do kapelusza.

№ 11. **Suknia w formie bluzy, przybrana haftowanemi trójkątami.** (Szk. 11). Forma i deseń na zam. w adm. Bluszczu.

Z przodu mereszką zeszyta spódnica łączy się z kimonową bluzką, bardzo ładnie na przodzie i na plecach



Szk. 10. Szk. 11 Szk. 12. Szk. 6.

przybraną haftowanym trójkątem i kołnierzem całkowicie przykrytym haftem. Rękawy, przyszyte do krótkich kimonowych rękawków bluzki mogą być sporządzone z lżejszego materyału, jak naprzykład z batystu, należy w takim razie zastosować do nich wypełnienie wycięcia u szyi, imitujące koszulkę. Suknię sporządzić można z płótna lub z grubszego kreponu. W stanie czarna lub kolorowa aksamitka zręcznie z boku związana na kokardę.

№ 12. **Sukienka z szelkowym staniczkiem, dla młodej panienki.** (Szkic 12). Forma i deseń na zam. w adm. Bluszczu.

Śliczną sukienkę z batystu lub z płótna, bardzo oryginalnie przybiera haft połączony wydatnemi mereszkami. Motywy haftu zdobią boki spódniczki i szelkowy staniczek w ten sposób, że przeciągnięte za stan tworzą kieszonki. Podwleczona pod haftem biała 3 cent. szeroka wstążka związana z przodu na węzełek. Cienka batystowa koszulowa bluzeczka dopełnia ubrania.

Żywienie kur.

1. Gdy z pod kwoki wylęgną się kurczęta, należy zdjąć ją z gniazda, obsypać proszkiem perskim dla wygubienia pasożytów, nakarmić ziarnem, a dopiero wtedy dać jej wieczorem kurczęta. Najlepiej umieścić kwokę z kurczętami w dużej płytkiej pace, w niej przebywają kilka pierwszych dni, później nocują. W kącie tej paki układamy trochę siana.

2. Karmę podajemy w pierwszym tygodniu na słupkach, później w korytkach, nigdy na ziemi.

3. W pierwszym tygodniu karmimy kurczęta co 2 godziny, w 2-gim i 3-cim co 3 godziny, później cztery razy dziennie, uważając, żeby pierwsze ranne pożywienie było gotowane, ostatnie wieczorem suche.

4. Pierwsze pożywienie dajemy kurczętom trzeciego dnia po wykluciu, a pożywienie to stanowią okruszyny chleba razowego pszennego, krupki hreczane lub jaglane i serek jajeczny, zmieszany z siekaną pokrzywą, krwawnikiem, zieloną cebulą i t. p. Serek jajeczny robimy z 2 łyżek mleka i jednego jaja, rozkłóciwszy dobrze w blaszanym garnuszeczku; garnuszek wstawiamy w rynkę, napełnioną kipiącą wodą. Mleko zetnie się wkrótce i stanowi bardzo pożywną i lekko strawną karmę dla kurcząt.

Pierwszego dnia, na 20 kurcząt wystarczy serek z jednego jaja, trzeciego dnia zjedzą serek z dwóch jaj i tak dawać po 2 jaja dziennie przez cały pierwszy tydzień. W drugim tygodniu zaprzestajemy dawać jaja, natomiast gotujemy kaszę na mleku, serwatce lub maślance. Dodajemy trochę karmy mięsnej, jak siekanych żył, okrawków mięsnych i po trochu kości mielonych, dodając powoli gotowanych ziemniaków.

6. Kurczętom kwoka wyszukuje drobne robaczki, muszki, gruboziarnisty piasek, węgiel; my tylko musimy dbać o to, żeby drób starszy, silniejszy, nie wyjadał delikatnej karmy, przeznaczonej dla młodzieży, i nie zadziobywał jej. Na podwórkach, po których chodzi drób różnorodny, służy do tego celu budka bez dna z daszkiem, 120 cent. długa, 80 cent. szeroka, ze szczeblami co 8 cent. Szczeble te dajemy na około budki



№ 6. **Ubranie z dwóch materyałów z otwartym wierzchnim płaszczykiem.** (Szkic 6): Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



№ 10. **Suknia z bluzką przybrana haftem.** Szk. 10). Forma i deseń na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 11. **Suknia w formie bluzy, przybrana haftowanymi trójkątami.** (Szk. 11). Forma i deseń na zam. w adm. Bluszczu.

№ 12. **Sukienka z szelkowym staniczkiem, zdobna haftem, dla młodej panienki.** (Szk. 12). Forma i deseń na zam. w admin. Bluszczu.

Budkę stawiamy na podwórzu, wewnątrz dajemy korytko na karmę i tam żywimy młodzież. Kurczęta wchodzą i wychodzą swobodnie, a kury starsze dostać się do niej nie mogą. Budka ta służyć może również jako więzienie dla kwoki. Wtedy stawiamy budkę na trawniku i zamykamy w niej kwokę. Kurczęta chodzą swobodnie naokoło budki, wchodzą do niej grzać się pod skrzydłami matki, a kwoka nie może ich prowadzić do ogrodu i niszczyć wschodzących roślin.

7. Świeżą wodę powinny mieć kurczęta zawsze. Używa się do tego pijadełek automatycznych, które w domu może zrobić każda gospodyni w ten sposób: flaszkę, napełnioną wodą, zatykamy drewnianym korkiem, w którym wycinamy dwa pionowe rowki z dwu przeciwnych stron. Rowki mają głębokość pół cent. Flaszkę obracamy dnem do góry i wstawiamy do miseczki — najlepiej blaszanej. Im głębsze naczynie, tem wyższy musi być korek. Żeby flaszka nie przewróciła się, stawiamy ją na deszczułce 30 cent. długiej, do której przy-

bija się pionowo w środku druga deszczułka 20 cent. wysoka. Przez środek pionowej deszczułki przesuwa się drut w formie ósemki i umacnia się go tak, by w otworach tej ósemki wstawić można 2 flaszki z drewnianemi korkami.—W miarę ubywania wody w miseczce, woda, napływając przez rowki, automatycznie napełnia naczynie znowu, w ten sposób kurczęta zawsze mają świeżą wodę.—Brak należycie urządzonych pijadełek powoduje samodzielne szukanie wody, wskakiwanie do beczek, koryt, wiader, gdzie często kurczęta śmierć znajdują, topiąc się w nich.

8. Pamiętajmy o tem, że drób należy do zwierząt wszystko żernych, więc nie może żywić się samem ziarnem; potrzebuje mieszanego pokarmu: roślinnego, zwierzęcego, a do należytego trawienia, piasku, kamyczków i węgla. Żywienie młodzieży samem ziarnem koszt zwiększa a produkcyę zmniejsza.

Im lepiej, intensywniej żywimy młodzież, tem dorodniejszy będzie przychówek, tem prędzej będą się niosły młode kury.

Lepiej mniej posadzić kwok i mniej trzymać kurcząt a karmić dostatnio i wychować zdrową młodzież, aniżeli dużo mizeraków, które po pewnym czasie giną lub źle wyrastają, nie mając ani na rzeź, ani na chów żadnej wartości.

W czasach przedwojennych, gdy o wszelką karmę było łatwo, pożywienie treściwe dla piskląt stanowiła sztuczna karma Fattingera.

Dziś jej zupełnie dostać nie można, więc w inny sposób musimy sobie radzić. Dajemy gotowane krupy hreczane, jaglane, kukurydzane i jęczmienne.

Gorsza mąka zarobiona z gorącą wodą z dodatkiem jaj, wyjętych z wylęgarń (które okazały się pozbawione zarodka), służyć mogą jako karma treściwa.

Jak wyżej powiedziałam, w drugim tygodniu dodajemy mielonych kości. Mieszamy je z otrębami pszennemi, kukurydzanemi, ziemniakami gotowanymi w ilości 1/4 na 3/4 części karmy miękkiej.

Wzorując się na postępowaniu kwoki—wychowujemy i żywimy tak samo pisklęta wylęgłe w wylęgarni sztucznej.

Wychowalnię, t. j. matkę wychowawczą, ustawiamy w zagrodach pod daszkiem. Matka powinna mieć dwa wyjścia. Jedno do kurnika z dużem oknem, zwróconem do południa, drugie wyjście do ogrodu. Wychowalnia od północy powinna być osłonięta ścianką drewnianą.

Kurczęta musimy wyuczyć, żeby na pukanie wychodziły z pod namiocika a na klaskanie chroniły się pod nim. Żywimy tak samo, jak kurczęta przy kwoce, tylko bardzo regularnie i do sytości.

Resztki karmy zabierawy, żeby nie mogły jeść ciągle, bo to psuje apetyt i powoduje różne choroby żołądka, na które kurczęta z wychowu sztucznego najczęściej giną. *Marya Bitschanowa.*

„Gospodarstwo kobiece".

Mydło do codziennego użytku.

Wobec trudności otrzymania mydła nawet na kartki, na liczne żądania naszych łaskawych Czytelników podajemy wypróbowany już przepis na mydło, które jakością bezsprzecznie przewyższa wszystkie dzisiejsze „ersatzy".

4 litry wody miękkiej gotuje się z 6 litrami tłuszczu. W drugim garnku rozpuszcza się 240 dk. ługu sodowego (t. zw.



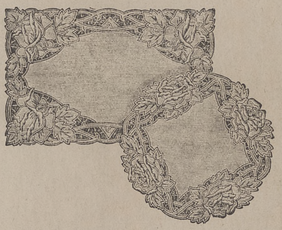
№ 13, 14, 15. **Staniczki pod letnie biuzki, zestawione z wstawek, koronek, tiulu i batystu.** Formy na zamówienie w admin. Bluszczu.

natrum 120%), można go otrzymać w drogeryach lub aptekach.

W miarę rozpuszczania się i gotowania tłuszczu z wodą, dolewa się już rozpuszczonego ługu sodowego. Należy przytem dobrze uważać, by w razie całkowitego połączenia się masy, ługu więcej nie dolewać. Masa ta gotuje się około 2 godzin i w tym czasie powinno nastąpić całkowite połączenie tłuszczu z sodą.

Dobrze połączona masa ma kolor żółtawy, jest przezroczysta, równa, bez żadnych krup odmiennej barwy.

Do takiej już gotowej masy, po dwu godzinach gotowania, dodaje się 10 do 13 dkg. rozpuszczonego w wodzie karuku. Ilość wody do rozpuszczenia karuku ogranicza się do kilku łyżek.



№ 16, 17. **Podłużna i okrągła serwetka, zdobna haftem Richelieu.** Wzory na zamów. w adm. Bluszczu.

Oprócz karuku, dodajemy również do powyższej proporcyi 40 dkg. soli kuchennej miałkiej; miesza się to wszystko drewnianą kopystką i całą masę, która podchodzi do górń, zbiera się odpowiedniem naczyniem i wylewa do formy blaszanej lub drewnianej. Po zastygnięciu wyjmuje się, kraje na kawałki i suszy w miejscu suchem.

Należy się wystrzegać przechowywania świeżego mydła na strychu lub wogóle w miejscach, gdzie jest chociaż 1° mrozu, bo mydło kruszeje i nie posiada spoistości właściwej masie mydlanej. Pozostały płyn ze spodu garnka używa się do mycia stołów, podłóg, a nawet silnie rozpuszczony, do prania bielizny.

„Gospodarstwo kobiece".

PRZEPISY KUCHENNE.

Kluski z kartofli z serem. 1 funt kartofli ugotowanych, zupełnie ostudzonych, utrzeć z pół łyżki masła, z dwoma całemi jajkami i 5 łutami sera zwyczajnego lub parmezanu—massa powinna być gęsta—robić z niej okrągłe kluski, gotować 10 minut i polać masłem rumianem z bułeczką.

Kapusta wiosenna (Podczos). Uszatkować drobno liście z młodej, nierozwiniętej kapusty i kalafiorów, sparzyć przez 10 minut i odlać przez durszlak — następnie drugi raz sparzyć, wcisnąć kwasku, posolić i gotować do miękkości — zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, rozebrać smakiem od gotowanej kapusty, wsypać kwasu, kopru, cukru, poddusić i podać zamiast kapusty, na jarzynę do mięsa. *A. N.*

Sos wiosenny („à la printanière). Wziąć trochę szparagów, szczawiu, szpinaku, rzodkiewki, rzeżuchy, pietruszki i kalafior — to wszystko wypłókać czysto, poczem sparzyć ukropem, raz zagotować bez soli i odcedzić — a następnie ugotować na rosole z pozostałych od mięsa kości.

Po ugotowaniu, wyjąć i drobno pokrajać.

Zrobić osobno białą zasmażkę z łyżki mąki i łyżki młodego masła, rozprowadzić rosołem — włożyć pokrajane jarzynki i zagotować.

Przed podaniem wlać duży kieliszek lub pół szklanki białego wina oraz wcisnąć soku z cytryny—ilość podług smaku (przepis przedwojenny).

Sos wiosenny jest bardzo odpowiedni do jajek ugotowanych na twardo i pokrajanych na połówki lub ćwiartki; do kaszki krakowskiej, ugotowanej na sypko lub ostudzonej i pokrajanej w kostkę; wogóle do wszelkich gatunków kasz, klusek, makaronów, ryżu oraz do kartofli, pod rozmaitą postacią podanych.

Do powyższego sosu można użyć bardzo dobrze mięso z pozostałej pieczeni lub sztukimięsa — pokrajawszy je na drobne kawałki dowolnej wielkości.

Ciastka bezowe z marmeladą. Na 10 białek lub 12, jeśli jaja małe, wziąć jeden funt cukru miałkiego i koniecznie osianego przez gęste sito.

Do cukru wsypać pół laski wanilii utłuczonej i osianej.

Cukier podzielić na cztery części.

Pianę należy ubić bardzo sztywno — a gdy już jest tak twardą, że z półmiska nie spada, wówczas jedna osoba musi nieustannie dalej ją ubijać, a druga jednocześnie sypać potrosze łyżką cukier. Po wsypaniu jednej części cukru trzeba znów pianę doprowadzić do stanu sztywnego, a kiedy to nastąpi, ponownie, jak pierwszą, sypać część drugą, trzecią i czwartą; sypiąc cukier, nie można wysypać go w jednem miejscu, ale należy go roztrząsać po całej pianie.

Pianę powinno się ubijać w chłodnem miejscu.

Kiedy piana jest już przygotowana — kłaść z niej na białą blachę srebrną łyżką ciastka podłużne w kształcie jajka albo też okrągłe. Jeśli blacha jest ciemna, wtenczas trzeba wyłożyć ją białym papierem — a po upieczeniu, ciastka podważyć szerokim, ostrym nożem, to z łatwością odejdą; o ile zaś trochę papieru pozostanie na ciastku—zwilżyć go wodą, a w tej chwili zejdzie.

Piec najlepiej w piecu po chlebie lub też po babach, gdzie stać powinny do drugiego dnia, ażeby się dobrze wysuszyły.

Wyjęte nazajutrz ciastka z pieca wystudzić i dopiero zimne zdejmować z blach — poczem każde na spodniej stronie posmarować marmeladą owocową i składać po dwa ciastka stronami nasmarowanemi.

Przechowując czas dłuższy, należy je trzymać w bardzo suchem miejscu i, o ile można, w dość ciepłej temperaturze.—Dobrze jest mieć je w szklanych słojach, owiązanych pergaminowym papierem — a jeszcze lepiej, w metalowych pudełkach wyłożonych białym lub pergaminowym papierem i szczelnie zamkniętych. (Pudełko takie można było nabyć w składach kolonialnych za małą stosunkowo cenę). *H. Ch.*

ODPOWIEDZI.

Pani Beli. O ile wzory nasze są już wyczerpane a Sz. Pani nie zależy na wysokości ceny — możemy śmiało zapewnić, że p. Zielińska, która już oddawna zasila „Bluszcz" rysunkami swemi— może podjąć się wykonania każdego rysunku w dowolnie wskazanej wielkości. Jak wspominaliśmy wyżej praca taka, obliczona na jeden obstalunek musi być inaczej oceniona.

Adres p. Zielińskiej—Wspólna 13.

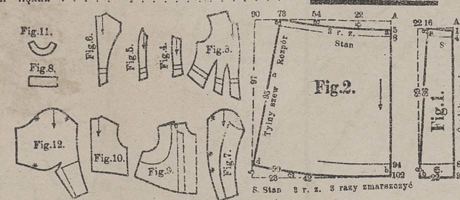
Tabl. krojów i wzor. do № 17 i 18.

Pierwsza strona.

I. Skromna suknia przybrana haftem.

Rycina 6 do № 17.

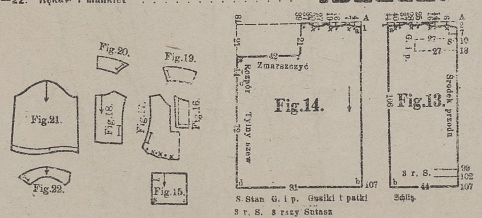
Fig. 1—2. Zmniejszona forma spódnicy.
Fig. 3.
Fig. 4—6. } Stanik z podszewki
Fig. 7—8.
Fig. 9. Przód bluzki z deseniem i podszewka do bluzki
Fig. 10—11. Tył bluzki i kołnierz
Fig. 12. Rękaw



II. Suknia jedwabna z rękawami z gazy.

Rycina 2 do № 17.

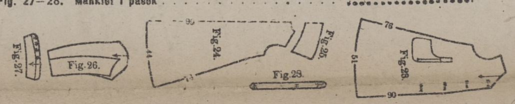
Fig. 13—14. Zmniejszona forma spódnicy.
Fig. 15. Wstawiona część z karczkiem.
Fig. 16—17. Koszulka i przód bluzki.
Fig. 18—20. Plecy i kołnierz.
Fig. 21—22. Rękaw i mankiet



III. Okrycie dla dziewczynki od 9—14 lat.

Rycina 12 do № 17.

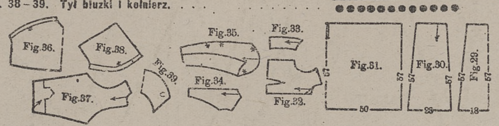
Fig. 23. Przód
Fig. 24 25. Plecy i kołnierz
Fig. 26. Rękaw
Fig. 27—28. Mankiet i pasek



IV. Suknia z bluzką dla dziewczynki od 10—12 lat.

Rycina 16 do № 17.

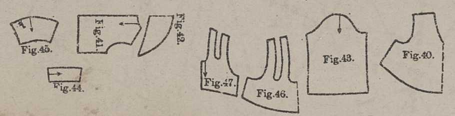
Fig. 29—30. Przód i bok spódnicy
Fig. 31. Tył spódnicy.
Fig. 32—34. } Stanik z podszewki
Fig. 35.
Fig. 36. Przód bluzki.
Fig. 37. Karczek z rękawem
Fig. 38—39. Tył bluzki i kołnierz.



V. Bluzka z materjału w pasy z wierzchnią bluzką z materjału gładkiego.

Rycina 14 do № 16.

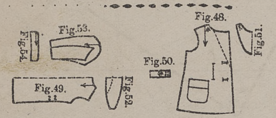
Fig. 40. Przód
Fig. 41—42. Plecy i kołnierz
Fig. 43. Rękaw.
Fig. 44 45. Mankiet z wyłożeniem
Fig. 46. Przód wierzchniej bluzki
Fig. 47. Plecy „ „



VI. Okrycie dla chłopca od 2—6 lat.

Rycina 5 do № 17.

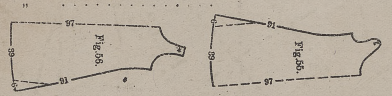
Fig. 48. Przód
Fig. 49—50. Plecy i pasek
Fig. 51—52. Napierśnik i kołnierz.
Fig. 53—54. Rękaw z mankietem



VII. Koszula zdobna haftem.

Rycina 19 do № 18.

Fig. 55. Przedni stan z deseniem
Fig. 56. Tylny „ „



VIII. Narożnik haftowany do pościeli.

Rycina 20 do № 16

Fig. 57. Wzór narożnika

IX. Chusteczka haftowana.

Rycina 22 do № 16.

Fig. 58. Wzór do chusteczki

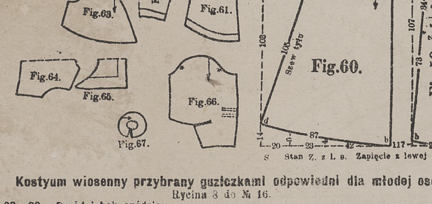


Odwrotna strona.

X Skromna suknia jedwabna z bluzką skośnie zapiętą.

Rycina 7 do № 17.

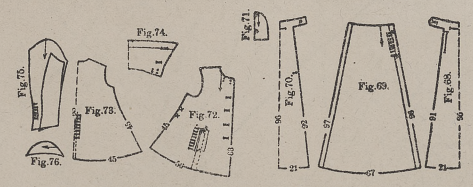
Fig. 59—60. Zmniejszona forma spódnicy.
Fig. 61. } Podszewka do bluzki . . . .
Fig. 62. }
Fig. 63. Przód bluzki . . . .
Fig. 64—65. Plecy bluzki i kołnierz . . . .
Fig. 66—67. Rękaw i falbanka . . . .



XI. Kostyum wiosenny przybrany guziczkami odpowiedni dla młodej osoby.

Rycina 3 do № 16.

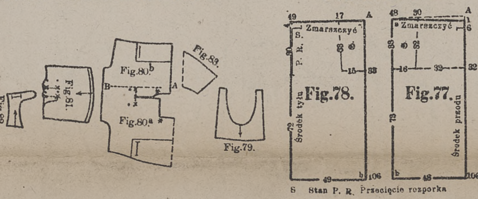
Fig. 68—69. Przód i bok spódnicy . . . .
Fig. 70—71. Tył spódnicy i kieszeń . . . .
Fig. 72. Przód paltocika . . . .
Fig. 73—74. Plecy i kołnierz . . . .
Fig. 75—76. Rękaw i mankiet. . . . .



XII. Suknia z bluzką z dwóch materyałów przybrana haftem.

Rycina 4 do № 16.

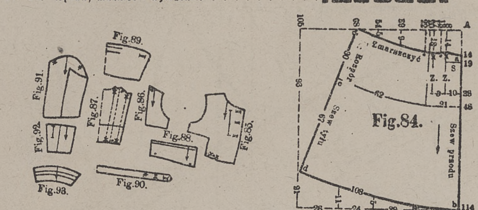
Fig. 77—78. Zmniejszona forma spódnicy.
Fig. 79. Kieszeń z deseniem . . . .
Fig. 80a } Bluzka z deseniem . . . .
Fig. 80b }
Fig. 81. Rękaw. . . . .
Fig. 82—83. Mankiet i kołnierz z deseniem . . . .



XIII. Kostyum wiosenny orygin. krojem.

Rycina 4 do № 9.

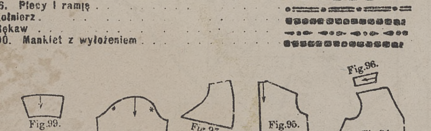
Fig. 84. Zmniejszona forma spódnicy.
Fig. 85—86. Przód i bok pleców . . . .
Fig. 87—88. Środek pleców i podłożony bok . . . .
Fig. 89—90. Kołnierz i pasek. . . . .
Fig. 91—93. Rękaw, mankiet i wyłożenie. . . . .



XIV. Bluzka z baskiną z materyi w deseń.

Rycina 14 do № 17.

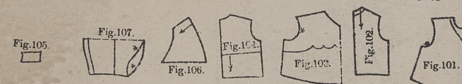
Fig. 94. Przód . . . .
Fig. 95—96. Plecy i ramię . . . .
Fig. 97. Kołnierz . . . .
Fig. 98. Rękaw . . . .
Fig. 99—100. Mankiet z wyłożeniem . . . .



XV Strojna bluzka z koronki i crêpe de Chine.

Rycina 7 do № 16.

Fig. 101. } Podszewka . . . .
Fig. 102. }
Fig. 103. Przód z deseniem . . . .
Fig. 104—105. Plecy i ramię . . . .
Fig. 106—107. Kołnierz i rękaw . . . .



XVI. Sukienka z odmienną bluzką dla dziewczynki od 3–5 lat.

Rycina 1 do № 17.

Fig. 108. Bluzka . . . .
Fig. 109—110 Karczek-stanik z rękawem .

